



Splatam
bašnie

Splatam baśnie

Wiersze i opowiadania
z XVII Konkursu Literackiej Twórczości
Dzieci i Młodzieży

Jasło 2012

Miejska Biblioteka Publiczna w Jasle

Projekt okładki: Magdalena Chart

Wydawca:

Miejska Biblioteka Publiczna w Jasle, 2012

38-200 Jasło

ul.Kołątaja 1

tel./fax 13 446 26 02, 448 06 65

e-mail: biblioteka@mbp.jaslo.pl

www.mbp.jaslo.pl

ISBN 978-83-923880-7-4

Prymat baśni

Każda edycja jasielskiego Konkursu Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży ma swą specyfikę. Podobnie rzecz wygląda z edycją XVII. Tym, co ją wyróżnia a zarazem stanowi jej tekstową dominantę jest obecność baśni jako gatunku, po który często sięgają młodzi autorzy. Dlaczego tak się dzieje?

Konwencja baśni pozwala piszącym budować rzeczywistość alternatywną wobec świata realnie Doświadczanego. Ten drugi, wypełniony powtarzającymi się zajęciami i zdarzeniami, nie jest zbyt atrakcyjny, stąd kreowanie światów fantastycznych, stwarzających więcej możliwości dla wyobraźni. Od razu trzeba dodać, że baśń niekoniecznie pojawia się w postaci klasycznej. Są to raczej rozmaite warianty i mutacje tego gatunku, odsyłające nie tylko do literatury fantasy, ale także do kryminału czy horroru. Warto również podkreślić, że w pracach nagrodzonych i wyróżnionych można zaobserwować nie tylko wysoką sprawność językową piszących, ale również pomysłowość w konstruowaniu zdarzeń, sytuacji, bohaterów.

Ale wybór baśni wskazuje także na tęsknotę za światem wyrazistych postaw i ocen; światem, w którym jasno odróżnia się empatię od oschłości, wierność od zdrady, piękno od brzydoty, szlachetność od interesowności. Te „wzniosłe tęsknoty” mówią niemało o rzeczywistości, w jakiej przyszło żyć młodym ludziom. Widać na co dzień coraz trudniej o te wartości, skoro literatura młodych tak się o nie upomina.

W sposobie prowadzenia narracji oraz konstruowania fabuły coraz większą rolę odgrywają oglądane przez młodych filmy. Ta „filmowość” widoczna jest w sekwencyjności zdarzeń, ale także w oszczędnej narracji, skrótowości opisów. Zyskuje na tym opowieść, stając się zwartą strukturą, w której akcenty

fabularne, ale także semantyczne i aksjologiczne są trafnie i zasadnie rozmieszczone.

Przyływy i odpływy w twórczości są nieprzewidywalne. Być może tłumaczy to, przynajmniej częściowo, słaby poziom prac uczniów poziomu ponadgimnazjalnego. A może wchodzi tu raczej w grę względy pragmatyczne; konieczność koncentrowania się na tych przedmiotach / dziedzinach wiedzy, które umożliwią studia, dające w przyszłości intratne zajęcie. Jakkolwiek by było, trochę szkoda, że, przynajmniej w bieżącej edycji konkursu, uczniowie szkół ponadgimnazjalnych nie zechcieli bardziej wysilić swej wyobraźni i języka.

Dla protokolarnego porządku dodajmy, że w XVII edycji Konkursu Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży, organizowanego przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Jaśle, wzięło udział 233 autorów, którzy nadesłali 374 wiersze oraz 146 opowiadań. Prace oceniało jury w składzie: Aleksandra Dacyl – polonistka, Mariusz Kalandyk – poeta, literaturoznawca, Grzegorz Kociuba (przewodniczący jury) – poeta, krytyk literacki, polonista, Jan Tulik – poeta, prozaik, eseista.

Słowa podziękowania zechcą przyjąć panie Anna Bełda oraz Aneta Gorgosz – jasielskie polonistki, a także panie Żaneta Pitrus i Magdalena Chart – pracownice Miejskiej Biblioteki Publicznej w Jaśle, które dokonały wstępnej lektury i oceny prac.

Jasielski konkurs od lat cieszy się sporym zainteresowaniem młodych autorów z całej Polski. O jego poziomie świadczy również fakt, że jego laureaci dobrze radzą sobie w innych konkursach literackich o zasięgu ogólnopolskim. Oby tak dalej z pożytkiem dla samych autorów oraz literatury lokalnej i ponadlokalnej.

Grzegorz Kociuba

LISTA OSÓB NAGRODZONYCH

Grupa I

(kl. 1 – 3 szkoły podstawowej)

Wiersze:

I miejsce – Kinia – Kinga Strugała, kl. 3 SP nr 4 Jasło – *cykl wierszy*

II miejsce – Milka – Emilia Reczek, kl. 3 SP nr 2 Jasło – *cykl wierszy*

III miejsce – Brygi – Brygida Rak, kl. 3 ZS SP Lipnica Dolna – *cykl wierszy*

Wyróżnienie:

Kondzio – Konrad Flis, kl. 1 SP nr 3 Hrubieszów – *Baba Jaga*

Opowiadania:

I miejsce – Kinia – Kinga Strugała, kl. 3 SP nr 4 Jasło – *Przygoda Pana Supetka*

II miejsce – Dąbrówka – Marta Papierz, kl. 3 SP nr 2 Myślenice – *Jesień w lesie*

III miejsce – Neris – Hanna Pętlak, kl. 3 ZSP SP Umieszcz – *Tajemnicze trolle*

Wyróżnienie:

Aga – Agata Rakoczy, kl. 3 SP nr 4 Jasło – *Diana i Michał – Podróż w czasie*

Grupa II

(kl. 4 – 6 szkoły podstawowej)

Wiersze:

I miejsce – Natalia 8 i 5 – Natalia Rusin, kl. 6 ZS nr 3 PSP nr 12 Stalowa Wola – *cykl wierszy*

II miejsce – Justysia – Justyna Janusz kl. 5 ZS nr 3 PSP nr 12 Stalowa Wola – *cykl wierszy*

III miejsce – Gabi – Gabriela Wnęk, kl. 5 ZS nr 2 SP nr 11
Jasło – *cykl wierszy*

Wyróżnienie:

Bella – Ilona Stronkowska, kl. 6 SP nr 1 Hrubieszów – *cykl wierszy*

Opowiadania:

I miejsce – Zielona – Milena Rzońca, kl. 6 SP nr 2 Jasło – *Pani Puchaczowa*

II miejsce – Maja Chałwa – Karolina Hałbiś, kl. 5 ZSP PSP
Szastarka – *Na ratunek Aidzie*

III miejsce – Laura – Agnieszka Hudyma, kl. 6 SP nr 2 Jasło –
Kurz i pył

Wyróżnienie:

Biedronka – Olga Sapiechowska, kl. 6 SP nr 2 Kielce – *Ołowiany żołnierz z sercem bez ołowiu*

**Grupa III
(gimnazja)**

Wiersze:

I miejsce – (Nie)poetka – Magdalena Bratejko, kl. 3 ZS nr 3
Gimnazjum nr 5 Stalowa Wola – *cykl wierszy*

II miejsce – Róża 2 – Justyna Szarek, kl. 3 ZS Gimnazjum
Lipnica Dolna – *cykl wierszy*

III miejsce – Aien Shu – Anita Czechowicz, kl. 2 Publiczne
Gimnazjum Cieklin – *cykl wierszy*

Wyróżnienie:

Bratek 1 – Karina Jurewicz, kl. 2 ZS nr 3 Gimnazjum nr 5
Stalowa Wola – *cykl wierszy*

Opowiadania:

I miejsce – Nataliusz – Natalia Jarecka, kl. 2 ZS Publiczne
Gimnazjum nr 2 Trzcinica – *Dama Kier*

II miejsce – PoeMa – Martyna Szczudlik, kl. 1 ZSP nr 2 NSS
Ustrzyki Dolne – *Dziesięć schodów w dziesięć dni*

III miejsce – Muffinka – Natalia Fudacz, kl. 2 Gimnazjum
Integracyjne Osiek Jasielski – *Wieczne jezioro*

Wyróżnienia:

Katia – Katarzyna Krzyżak, kl. 3 ZSM nr 4 Gimnazjum nr 4
Jasło – *Statuetka*

Hailie – Karolina Sztuba, kl. 2 Gimnazjum nr 2 Nysa – *Pieskie
życie*

Grupa IV
(szkoły średnie)

Wiersze:**Wyróżnienia:**

Dimare – Waldemar Wójcik, kl. 1 II LO Jasło – *Idź...*

Kalina – Małgorzata Kwiatkowska, kl. 1 ZS nr 4 Jasło – *cykl
wierszy*

Opowiadania:**Wyróżnienia:**

Es – Karolina Gajecka, kl. 1 II LO Jasło – *Zobaczyć słońce*

Vesia – Paulina Marchewka, kl. 1 ZS nr 4 Jasło – *Śniąc na jawie*

Grupa I (kl. 1 – 3 szkoły podstawowej)
LISTA OSÓB NAGRODZONYCH

WIERSZE:

I MIEJSCE – KINGA STRUGAŁA
– *CYKL WIERSZY*

II MIEJSCE – EMILIA RECZEK
– *CYKL WIERSZY*

III MIEJSCE – BRYGIDA RAK
– *CYKL WIERSZY*

WYRÓŻNIENIE:

KONRAD FLIS
– *BABA JAGA*

OPOWIADANIA:

I MIEJSCE – KINGA STRUGAŁA
– *PRZYGODA PANA SUPEŁKA*

II MIEJSCE – MARTA PAPIERZ
– *JESIEŃ W LESIE*

III MIEJSCE – HANNA PĘTLAK
– *TAJEMNICZE TROLLE*

WYRÓŻNIENIE:

AGATA RAKOCZY
– *DLANA I MICHAŁ – PODRÓŻ W CZASIE*

Kinga Strugała

Kinia

Szkoła Podstawowa nr 4 w Jasle, kl. 3

SPOSÓB NA NUDE

Gdy dopadanie cię nuda
I myślisz: Nic mi się nie uda!
Wejź do kuchni kolorowej
Szybko czepek włóż na głowę.

Pomóc może mama, tata,
Starsza siostra, albo brat.
I do dzieła! Do roboty
Pora łyżkę w rękę brać!

Do rondelka nalej mleka
Ćwiartkę szklanki i nie zwlekaj
Dołóż miodu – łyżek trzy
Niech się mleko ładnie lśni.

Potem masła – tak łyżeczkę
I tabliczkę czekolady.
Daj na ogień i podgrzewaj
Cały czas dokładnie mieszaj!

Jak się wszystko już rozpuści
Zdejmij z ognia swój rondelek.
Wsyń do płynnej czekolady –
Garść orzechów, musli dziesięć deka
Niech rodzinka nie czeka.

Wszystko łyżką mieszaj śmiało

By się dobrze wymieszało.
Potem masę weź do ręki
Zrób „języki” – formuj kulki
I na tacy – do lodówki.

Za około pół godziny
Zrób przyjęcie dla rodziny.
Nie straszna nam nuda
Gdy można robić takie cuda!

Emilia Reczek

Milka

Szkoła Podstawowa nr 2 w Jaśle, kl. 3

SEREK NA SPACERKU

Wyszedł serek na spacerek,
spotkał w mig niewielki skwerek.
Ser powiada Serononce,
jak prześlicznej młodej żonce:
„Moja droga Serononko:
Czy ty śpiewasz tu w operze?,
Czy ty jeździsz na rowerze?”.
Nagle idzie trzeci serek,
który wyszedł na spacerek.
Gdy tak sobie rozmawiali,

myszki przyszły tam z oddali;
jedna myśli... „wiem, narada,
powiem – serków trzech gromada,
czyli to gromada serków,
które siedzą tu na skwerku”.
Serków siedzi całe już zebranie.
Mówią myszki: „zjemy serki na śniadanie”.
Było aż dwanaście serków,
co siedziały tu na skwerku.
Rano myszki zjadły serki,
które wyszły na spacerki.

Brygida Rak

Brygi

Zespół Szkół Szkoła Podstawowa w Lipnicy Dolnej, kl. 3

CUDA W LESIE

Dziś wybiorę się do lasu.
Spotkam zwierząt całą masę:
wilki, lisy, groźne żmije,
sowy, jeże... no i tyle.
Nagle patrzę! Tuż za drzewem

biegnie płowa sarna,
za nią jeleni dumnie kroczy,
zając łapki w rosie moczy.
Dzięcioł leczy chore drzewa,
wróbelek sobie śpiewa.
A ja to wszystko obserwuję
w wyobraźni zapisuję.

Konrad Flis

Kondzio

Szkoła Podstawowa nr 3 w Hrubieszowie, kl. 1

BABA JAGA

W lesie, gdzie wilk wyje srodze,
Stoi dom na jednej nodze.
Szyby z cukru, drzwi z piernika,
To nie chatka cukiernika!

W oknach iskry, dym z komina,
Pająk się po sieci wspina.
I do kotła puszcza zeza,

Bo tam w zupie tkwi proteza.

Łyżka długa po dnie szura,

Łowi muchy, łapie szczura,

Jajo kruka, róg barani ...

Zębów szuka starsza pani.

Garb na plecach, krzywe nogi,

A na twarzy grymas srogi.

Nos garbaty, gęba blada.

Kto to taki? – Baba Jaga.

Kinga Strugała

Kinia

Szkoła Podstawowa nr 4 w Jasle, kl. 3

PRZYGODA PANA SUPEŁKA

Rozdział I

W grubym, wełnianym dywanie mieszkał sobie Pan Supełek. Była to niezwykła istotka, bardzo pomocna i przyjacielska. Choć obecna w życiu mieszkańców, to przy tym niewidoczna. Gdy coś upadło na dywan, Supełek pomagał to odnaleźć. Przysłuchiwał się rozmowom, prowadzonym przy stole, wysłuchiwał narzekań dzieci.

Pewnego dnia, a było to podczas generalnych porządków, dywan z Panem Supełkiem został zwinięty i wyniesiony do trzepania. Pan Supełek trzymał się mocno dywanu, ale niestety – bezskutecznie. Po kolejnym, mocnym uderzeniu trzepaczką, Pan Supełek spadł na ziemię.

– Co robić? Co ze mną będzie? – myślał gorączkowo.

Niestety, właściciel skończył trzepanie, zwinął dywan i wrócił do domu. Pan Supełek był zrozpaczony. Całą noc spędził pod trzepakiem.

Następnego dnia obok trzepaka pojawiła się grupka dzieci. Jedna z dziewczynek zauważyła kolorową niteczkę związaną w supeł. Podniosła ją i włożyła do kieszeni. Było tam ciemno, ale ciepło i przyjemnie.

Wdzięczny Pan Supełek zaczął podpowiadać pomysły zabaw. Dzieci nie wiedziały jak to się dzieje, ale teraz wcale się nie nudziły. A to bawiły się w ciuciubabkę, berka, a to urządziły naukę tańca. Pewnego dnia, dzieci wymyśliły nazwę dla swojej grupy – „KLUB TRZEPAKOWY”.

Pan Supełek był dumny z siebie oraz z nowej właścicielki i jej przyjaciół. Prężył się z dumy, prostował. Ale im bardziej się

prężył, tym bardziej stawał się luźny. Aż pewnego dnia, całkiem się rozwiązał. Był zwykłą, kolorową nitką.

W tym dniu przypomniała sobie o nim jego nowa właścicielka. Wyciągnęła Pana Supełka z kieszeni. Ucieszyła się, że guzek sam się rozwiązał. W dalszym ciągu nie domyślała się, że powstanie klubu trzepakowego zawdzięcza niezwyklej niteczce. Dziewczynka chwilę trzymała kolorowa nitkę w dłoniach. I nagle – zawiązała ją na trzepaku, w miejscu, gdzie wszystko się zaczęło.

Tym razem Pan Supelek już się nie bał. Wiedział, że codziennie zobaczy dzieci. A w razie potrzeby zawsze będzie mógł podsunąć gotowe pomysły do zabaw.

Marta Papierz

Dąbrówka

Szkoła Podstawowa nr 2 w Mysłenicach, kl. 3

JESIEŃ W LESIE

Za oknem była piękna złota jesień. Kasztany uderzały o ziemię, a wiatr szumiał kolorowymi liśćmi. Gdzieniedzie w lesie dało się słyszeć tupot małych wiewiórczych nóżek. Liście zawzięcie toczyły walkę, kto pierwszy spadnie na ziemię. Jeże pilnie szukały dżdżownic i powoli zakopywały się pod kupkami liści. Brązowy borowik kukał spod opadłego złotego liścia. Drzewa kłóciły się o to, kto ma najpiękniejszą barwę, a kolorowa Kalina spokojnie bujała się na wietrze nucąc piosenkę o jesieni. Kalina była tak zwaną głową lasu. Może się zdziwicie, że to nie dąb był głową lasu tylko Kalina, lecz Kalina była spokojna, mądra i zawsze uśmiechnięta. Wszystkie drzewa ją lubiły. Szkółka młodych jodełek wraz z nauczycielką panią Świerkową uczyła się pilnie o warstwach lasu.

– Kochane jodełki, jaka warstwa jest na samym dole? Te igielki, suche liście? – zapytała pani Świerkowa małe jodełki ciekawe świata.

– Yyy... korony wysokich drzew? – strzeliła Marylka, mała jodełka. Pani Świerkowa złapała się za głowę.

– Pomyślcie, korony drzew to najwyższa warstwa, a ta najniższa? – rzekła pani Świerkowa.

– Yyy... podszyt? – strzelił Janek.

– Dobrze, idziemy od góry – westchnęła pani Świerkowa. – To co następne? – spytała.

– Yyy... ściółka leśna? – strzeliła Julka. Pani Świerkowa głośno westchnęła i tak właśnie przebiegała nauka w klasie pani Świerkowej.

Kasztany

Jak zwykle na początku września kasztany pragną już spaść. Tak było i tym razem.

– No, spadaj już! – krzyknął największy kasztan do swojego ogonka, ale ogonek chyba tego nie chciał. Za to mały kasztanusi postanowił działać spokojnie i delikatnie.

– Nie daj się prosić ogonku – mówił słodkim głosem – Proszę urwij się, żebyśmy mógł poznać świat! – ale to nic nie pomogło. Najwyraźniej ogonek chciał jeszcze powisieć w powietrzu.

– Mam pomysł! – krzyknął Mały, a Duży z ciekawością się przysłuchiwał jak Mały mówił.

– Do tego są potrzebne dwa kasztany. Oba kasztany zaczną się bujać, uderzać o siebie i po paru minutach spadną.

Do tego eksperymentu zgłosił się Duży. Duży i Mały zaczęli się bujać, potem stukać, aż wreszcie spadli.

– Ale lot! – krzyczał Duży.

– Ale fajnie! – krzyczał Mały.

W końcu Mały i Duży spadli na ziemię i ich skorupy powoli się otwierały. Mały wraz z Dużym ciekawie rozglądali się na wszystkie strony. Mały zaczął się turlać po miękkiej trawie.

– Ale fajnie! – krzyczał mały kręcąc się na plecach.

– Lepiej skryjcie się w czyimś ciepłym domu, bo w grudniu spadnie śnieg i będzie wam bardzo zimno – rzekł nieznany głos, ale Duży domyślił się, że mówi to ich tata, czyli Kasztanowiec.

– Co to śnieg? – spytał Mały.

– To coś co jest bardzo zimne i spada niespodziewanie z nieba. Na ucieczkę macie około trzech miesięcy – Mały i Duży nieco się przestraszyli, ale nagle usłyszeli ludzkie głosy i szybko umilkli.

– Mamo! Patrz kasztany! – ucieszyła się jakaś mała dziewczynka.

– Weźmiemy je do domu – powiedziała i wzięła oba kasztany w małe, ciepłutkie rączki.

Szkółka leśna

Jak zapewne wiecie, dzieci w całej Polsce muszą chodzić do szkoły. Ale jak zapewne nie wiecie, młode drzewka też chodzą do szkoły. Na początku wspomniałam o klasie pani Świerkowej, a więc nie będę zmieniać tematu. Opowiem wam o klasie pani Świerkowej. Dziś pani Świerkowa będzie pytać warstw lasu.

– Pierwszy odpowie nam Jasiu – powiedziała pani – Zaczynamy od dołu, czyli to na czym stoisz to...? I dodam jeszcze, że jeśli to zdacie zamkniemy ten temat.

– Yyy... czy to ściółka leśna? – rzekł Jasiu.

– Je!!! – krzyknęła cała klasa z radości, że Jasiu dobrze odpowiedział i zamknął ten temat.

– To co znajduje się w ściółce leśnej? – spytała pani.

– Yyy... krzewy? – strzelił Jasiu.

– Bu!!! – ryknęła klasa.

– Yyy... suche liście i igły?

– Je!!! – wykrzyknęła klasa i w dzienniku pojawiła się piękna piątka.

– Teraz odpowie nam Marylka – powiedziała pani Świerkowa.

– Potem jest hm... podszyt? – rzekła Marylka.

– To nad ściółką – podpowiedziała pani Świerkowa.

– Runo – powiedziała pewnie Marylka.

– Je!!! – krzyknęła klasa.

– To co znajduje się w runie?

– Jagody?

– Tak – rzekła cicho klasa.

– Grzyby?

– Tak – rzekła głośniejszą klasa.

– Mchy?

– Tak!!! – wykrzyknęła klasa i pani wpisała do dziennika kolejną piątkę.

– Teraz Jacek. Co jest następne? – zadała pytanie pani.

– Podszyt – rzekł spokojnie Jacek.

– Co się w nim znajduje? Pomyśl, ty jesteś małą częsteczką podszytu – podpowiedziała znów pani.

– Małe drzewa? – powiedział Jacek mniej pewnym głosem.

– Dobrze. I co jeszcze?

– Yyy... – zamyślił się Jacek.

– Krzewy! – wykrzyknął po chwili. Do dziennika trafiła kolejna piątka.

– Teraz Julka – rzekła pani.

– Mam odpowiadać? – spytała Julka, która czasami drzemie na lekcji.

– Tak, masz odpowiadać.

– Potem są korony drzew – rzekła Julka.

– A co tam się znajduje?

– Korony drzew – powiedziała Julka.

– Je!!! – krzyknęła cała klasa.

Nagle rozległ się śpiew ptaka. Pewnie nie wiecie, ale w szkole leśnej dzwonek na przerwę to śpiew ptaka. Prawie wszystkie jodełki wyciągnęły kanapki z liściem kasztanowca lub kasztany, czyli cukierki.

Na następnej lekcji pani Świerkowa zabrała całą klasę na wycieczkę w poszukiwaniu darów jesieni. Drzewa, kiedy w pobliżu nie ma ludzi, mogą wyjść z ziemi i chodzić jak ludzie. Pani Świerkowa coś opowiadała, jodełki zbierały kolorowe liście, a jak Marylka znalazła kasztana to Jasiu też chciał, a jak Jasiu znalazł grzyba to Marylka też chciała. Normalka. Ale następna rzecz nie była normalką. Pani kazała dobrać się w pary i rozejść po lesie – oczywiście nie za daleko i poszukać skarbów jesieni.

Opowiem wam o parze Jasia z Jackiem. Razem poszli w stronę krańca lasu. Co prawda znaleźli liście i grzyba, ale znaleźli też wiewiórkę i pomyśleli, że to też skarb jesieni i wzięli wiewiórkę pod pachę. Pani bardzo się zdziwiła, gdy jodelki poprzynosiły swoje skarby. Ktoś przyniósł trawę, inny ktoś mrówkę, a jeszcze inny ktoś przyniósł wodę ze źródła, ale nikt nie przebił wiewiórki.

Przygoda maślaka

Na spokojnym obrzeżu drogi leśnej rósł sobie młody i mały maślak. Nazywano go Myślipiętkiem, ponieważ zawsze myślał co będzie potem i był mały jak piętka wyrosniętego bobasa.

– Ojejku co będzie jak jakiś grzybiarz mnie znajdzie? – myślał – Nie dość, że jest piękna złota jesień to rosnę tuż przy drodze! – bał się Myślipiętek.

– Wyluzuj! – rzekł spokojnym głosem drugi maślak o imieniu Duży, wystawiając kapelusz spod liścia paproci.

– Mi to normalnie się tu nudzi! Najpierw było spoko, piękny las, jesień, ale potem! W kółko to samo! Ech... Nuda! – marudził Duży.

– To chcesz ... żeby grzybiarz cię zebrał? – wyjąkał Myślipiętek.

– To moje marzenie!!! – wykrzyknął i prawie podskoczył Duży, choć skok grzyba jest niemożliwy.

Pewnego słonecznego dnia oba grzybki usłyszały szelest nóg grzybiarza. Grzybiarz był tuż, tuż Myślipiętka i zebrał go! Grzybek piszczał i wrzeszczał, a Duży tylko spoglądał z zazdrością na Myślipiętka wsadzonego do koszyka, ale wkrótce i on tam trafił.

– Spełniło się moje marzenie! – wykrzyknął oczywiście Duży, a nie Myślipiętek.

Na początku w koszyku było dość wygodnie. Można było znaleźć w nim borowika, podgrzybka, kurkę. Ogólnie było dobrze. Co i rusz były nowe krajobrazy lasu, a Duży z radości skakał na jednej nodze. Ale nagle widok się zmienił. Najpierw były rozległe pola z paroma krzakami i jakimś małym drzewkiem, ale potem! Szara droga i jakieś kwadraty, najczęściej żółte! Tragedia! Tak właśnie rozmyślał sobie Myślipiętek. Do tego jeszcze weszli do jednego z tych kwadratów. W kwadracie było całkiem przytulnie. Ciepło, miłutko i można było zobaczyć przez dziurę w kwadracie, jak kolorowe liście spadają na ziemię.

– Tato, a mogę wziąć tego i te grzyby i się nimi zaopiekować? – spytała mała piegowata dziewczynka.

– No... dobrze – westchnął tata grzybiarz i mała piegowata dziewczynka wyjęła z kosza pełnego grzybów Myślipiętka i Dużego! Duży bardzo się ucieszył, ale Myślipiętek wprost przeciwnie.

– Resztę grzybów możesz zasuszyć – rzekła dziewczynka głaszcząc oba grzyby. Inne grzyby niestety zostały pokrojone, ale z tego, co było widać, miały niezłą frajdę.

– Zrobię wam przytulny domek bardzo podobny do lasu – uśmiechnęła się dziewczynka.

Myślipiętek po raz pierwszy był zadowolony. W końcu tak jakby wróci do lasu. Dziewczynka wzięła do rąk szeroką i płaską miskę. Położyła ją na parapecie i na chwilę znikła. Wróciła z rzeczami do domku dla grzybków. Duży i Myślipiętek z ciekawością przyglądali się dziełu dziewczynki. Dziewczynka najpierw wysypała ziemię, potem pokryła ją liśćmi i igłami, dodała mchy, zasadziła w kącie trawę i dodała małą roślinkę przypominającą małe drzewko. Wsadziła do tego oba grzybki, podlała i tak właśnie opiekowała się Myślipiętkiem i Dużym. Teraz oba grzybki były zadowolone.

Wycieczka jeża Kolczastego

W lesie mieszkał sobie jeż Kolczasty. Mieszkał on pod kupką liści niedaleko dużej łąki. Żył mu się bardzo dobrze, aż pewnego dnia Kolczasty porządnie zgłodniał. W okolicy jego schronienia nie znalazł już zbyt dużo dżdżownic, dlatego postanowił wybrać się na wycieczkę do miasta, wejść do czyjegós ogrodu i tam poszukać dżdżownic.

Następnego ranka, wczesnym świtem niewyspany Kolczasty wybrał się na swą wycieczkę. Szedł, szedł i szedł, aż w końcu zorientował się, że siedzi w strumyku. Był taki zaspany, że chodził w kółko, aż potknął się i wpadł do strumyka. Jeżyk płynął sobie rzeką zamiast iść piechotą. Było mu zimno, ale przynajmniej nie musiał męczyć swoich małych łapek.

W końcu woda wyrzuciła na brzeg Kolczastego. Teraz nie miał wyboru – musiał iść piechotą. Powoli przechadzał się łąką w poszukiwaniu najbliższego ogrodu. Od czasu do czasu widział pasącą się sarnę.

– Nareszcie – odetchnął z ulgą tarabaniąc się przez dziurę w płocie. Był w ogrodzie. Do ogrodu doszedł dość późno, więc poszedł spać, a akcję wykona jutro.

Następnego dnia, wczesnie rano jeżyk obudził się i spokojnym kroczkiem przechadzał się po ogrodzie. Podziwiał liście buka i kropelki rosy w słońcu. Bardzo mu się to podobało. W końcu wziął się do roboty - szukania dżdżownic. Ale problemem było to, że w tym ogrodzie także nie znalazł dżdżownic! Kolczasty pomyślał chwilę, aż w końcu wymyślił. Pójdzie do następnego ogrodu. I tak zrobił. W drugim ogrodzie było dużo kwiatów michałków, a Kolczasty miał uczulenie na michałki i ciągle kichał. Miał tego w końcu dość i jeszcze poszedł do następnego ogrodu. Tam z kolei był duży stawek, a jeżyk miał już dość do czynienia z wodą. Kolczasty przez chwilę porządnie się zastanawiał, aż w końcu wymyślił! Wróci do swojego

schronienia i poszuka po prostu na łące, ale w innym miejscu! Jeżyk tyle się namęczył, a wszystko na darmo! Ale Kolczasty nie żałował swej „męki”, bo to była wspaniała przygoda i ten dzień Kolczasty na pewno zapamięta!

Nadchodzi zima

Powoli drobne płatki śniegu zakrywały cały las. Drzewa już smacznie chrapały, jeże cicho leżały pod kupkami liści i śniegiem. Cały las tak jakby zatrzymał się w czasie. Kalina – jak pamiętacie – głowa lasu, schyliła główkę i smacznie spała. W lesie było bardzo cicho. Jednak w głębi lasu dwie młode sarenki bawiły się w chowanego.

– Raz, dwa, trzy... szukam! – liczyła jedna, natomiast drugo cicho siedziała pod ośnieżoną choinką.

Nagle nadleciał myszołów. Sarenki nie bały się tego ptaka. Wręcz przeciwnie – lubiły go. Więc ten myszołów usiadł na ośnieżonej choince, tej samej, pod którą siedziała sarenka Zosia i śnieg z choinki spadł na Zosię.

– Aaa! – krzyknęła Zosia.

Wyszła spod drzewa z białą czapczką na głowie. Sarenka Basia śmiała się okropnie. Tak głośno, że zrzuciła śnieg z innego drzewa i też miała białą czapczkę. Teraz obie się śmiały. Myszołów spojrzał na nie z góry, westchnął cicho, uśmiechnął się i odleciał. Takie to właśnie „dziecinne zabawy”, jak ujął to myszołów, wyprawiały zimą młode sarenki. Należały do tego jeszcze zjazdy z górki na pupie i bitwa na śnieżki.

Wigilia zwierząt

Była zima i był śnieg. Zwierzęta przygotowywały się do Wigilii. Zbyt nie wiedziały, o co chodzi w tym święcie, ale wymyśliły dwa zwyczaje. Pierwszy to pożegnanie roku, a drugi to przywitanie zimy. Zwierzęta miały też nieco inne tradycje, więc je Wam opowiem.

Na początek Kalina ustaliła, że Wigilia będzie w sosnowym lasku. Dwie sarenki Basia i Zosia wzięły jodłowe

gałązki i zamiatały śnieg. Kiedy skończyły odetchnęły z ulgą, a w tym samym czasie lisek Chytrusek zakradł się do sosnowego lasu i potrząsnął największą sosną. Śnieg z sosny spadł na miejsce, gdzie przed chwilą Basia i Zosia odśnieżały. Kiedy zobaczyły liska chichoczącego za sosną, po lesie zaczęła się niezła gonitwa. Kiedy Kalina to zobaczyła, pomyślała chwilę, jak będzie na Wigilię, kiedy lis zacznie zaczepiać sarny, czy tym podobne rzeczy, więc zarządziła, że w dniu Wigilii wszystkie zwierzęta mają być dla siebie miłe. Ponieważ zwierzęta były grzeczne już przed Wigilią, był spokój w lesie. Basia i Zosia zaczęły od nowa sprzątać, ale Chytrusek im pomógł. Z kolei wiewiórki miały zająć się jedzeniem. Przyniosły orzechy, liście kasztanowca i inne smakołyki. Zaczęły to mieszać i gnieść swoimi małymi łapkami. Po chwili ciasto orzechowe było gotowe. Zrobiły także sałatkę z żołądzi, liści kasztanowca, kawałków młodej kory. Wsypały też do miski kasztany, czyli cukierki. Zrobiły też takie jakby naleśniki. W środku był farsz z różnych pyszności owinięty liśćmi. Była jeszcze kapusta z sianem. Pycha! Było też jeszcze mnóstwo innych smakołyków. Dla każdego jego ulubione jedzonko – tylko zwierzęta mięsożerne nie dostały swoich przysmaków. Z kolei jelenie i dziki szykowały prezenty, np.: nauszniki dla zajęcy z kawałków materiału znalezionych w lesie, sanki z kawałka kory dla lisa lub naszyjniki z jarzębiny dla wiewiórek. Potem pakowali te prezenty w kolorowe liście i pisali na paczkach piórem imię i rodzaj zwierzęcia, dla którego był dany prezent. Natomiast utalentowane zwierzęta ubierały sosnę w orzechy włoskie pomalowane jagodami przechowanymi z jesieni lub żurawiną, małymi grzybkami, kolorowymi liśćmi, a do tego bardzo delikatnie przyprószyli sosnę śniegiem, bo wcześniej wszystkie drzewa z sosnowego lasu zostały odgarnięte ze śniegu. Potem najsilniejsze jelenie przytaszczyły duży kawałek deski i położyły go w sosnowym lasku, jako stół. Wiewiórki położyły na nim smakołyki i ozdobiły jemiolą. Cały sosnowy

lasek był ozdobiony jemiolą i jodłowymi gałęziami. Do tego wszystkiego Kalina wraz z innymi krzewami i drzewami chodziła po całym lesie w poszukiwaniu świetlików. Znalazła ich bardzo dużo, zaprowadziła do sosnowego lasku i po całym suficie z igieł latały świetliki.

W końcu nadszedł 24 grudnia – Wigilia. Wszystkie zwierzęta zebrały się w sosnowym lasku. Było ciepło i przytulnie, choć na polu padał śnieg. Na początek zwierzęta życzyły sobie wszystkiego najlepszego na nowy rok i zimę. Potem zaczęło się jedzenie. Wszystkie zwierzęta śmiały się, rozmawiały i wygłupiały. Kiedy nadszedł czas rozpakowywania prezentów, skakały z radości. Zajęcie od razu założyły swoje nauszники i skakały w nich po sosnowym lasku. Lisy próbowały zjeżdżać na sankach z kory, a wiewiórki przechadzały się naokoło stołu w swych naszyjnikach. Następnie nadszedł czas na zabawy, takie jak taniec wokół ubranej sosny, czy chowanie cukierków i szukanie po całym sosnowym lasku.

Kiedy zwierzęta miały się kłaść spać (w noc Wigilii zwierzęta śpią razem w miejscu, gdzie odbywała się Wigilia), usłyszały dźwięk dzwoneczków. Wyszły z lasku i popatrzyły w górę. Pomiędzy płatkami śniegu było widać lecące sanie.

– To święty Mikołaj daje ludziom prezenty – rzekł zajęc. Po chwili na małych spadochronach zlatywały prezenty dla zwierząt. Prezentów było tyle, że ho, ho! Myślę, że każdy zwierzę lubi Wigilię i jej wspaniały urok.

Rodzina Maśmieszków

Dziś odejdę trochę od tematów roślin i zwierząt. Natomiast opowiem o rodzinie Maśmieszków bawiącej się na łące. Od razu powiem, że mamy Maśmieszek nie będzie w tej opowieści, ponieważ skręciła sobie kostkę i leży w łóżku.

Jest zima. Prawie cała rodzina Maśmieszków bawi się wspaniale na łące. Tata na zmianę z Grześkiem ciągną Kaśkę na saneczkach, a za każdą odległość od krzaczka do krzaczka Kaśka

wyciąga mentosa ze swej małej kieszonki, którą ma w kurtce. Raz jest on pomarańczowy, raz truskawkowy lub jabłkowy. Pycha! Oczywiście daje mentosa temu, kto ją ciągnął, nie sobie.

W końcu tata, Grzesiek i Kaśka zatrzymują się i wchodzą do różnych krzaczków. Nie myślcie sobie o nie. To nie o to chodzi. Rodzinka chce znaleźć sobie bazę do zabawy. W końcu Kaśka z drugiego końca łąki krzyczy, że znalazła bazę i Grzesiek z tatą wyskakują z krzaka jeżyn i biegną do Kaśki. Rzeczywiście jest to niezła skrytka. Jest w niej krzak róży... Dryń, dryń! O, to mama dzwoni do taty. Zaczekajcie chwileczkę.

– Tak, tak jest Kasia. Nie, nie wpadła do zasy. Tak, tak ma suche buciki. A Grzesiek? Cały i zdrowy – tak właśnie, tata Maśmieszek odpowiadał na pytania zadawane przez mamę.

Dobrze, wracamy do bazy. A więc jest tam krzak róży, pod który można wejść, jest też małe drzewko, na które też można wejść. Potem okazało się, że tata ma być wrogiem i biedny tata poszedł schować się w krzaku jeżyn. Kasia i Grześ pracowicie lepili kule ze śniegu, by się bronić.

– Dobra, ty wylaż na drzewo ja pójdę do krzaka róży – rzekła Kaśka.

– A ty co się tak rządysz? – spytał Grzesiek.

– Jestem przecież przywódczynią! To ja znalazłam tę skrytkę! – krzyknęła Kaśka.

– Ale ja jestem mężczyzną i jestem starszy! – krzyczał Grzesiek i tak zaczęła się bitwa, ale nie z wrogiem tylko pomiędzy rodzeństwem. Tata skorzystał z okazji, podszedł ostrożnie do krzaka róży i krzyknął:

– Mam waszą bazę! Wygrałem!

– To nie fair! – krzyknęło naraz rodzeństwo, ale i tak dobrze wiedzieli, że to tata wygrał.

Bitwa zaczęła się od nowa. Ale tym razem okazało się, że w środku róży ktoś mieszka i to całkiem niezły jegomość, bo dzik. Tata, Grzesiek i Kaśka wskoczyli na sanki, razem się

przytulili, by się zmieścić i pędem uciekali w dół górki. Kaśka piszcziała z radości i ze strachu, a tata i Grzesiek nogami popychali sanki, żeby szybciej jechały.

W końcu byli w domu. Mama zrobiła im kakao, a oni położyli się na kanapie przy kominku. Dzik natomiast leżał pod drzwiami i czekał, aż wróg wyjdzie z domu.

Epilog

Tak właśnie jesień i zimę mogą wesoło spędzać zwierzęta i ludzie. Las zimą, a już szczególnie jesienią może wydawać się nudny, ale wcale tak nie jest! Dlatego zachęcam do pieszych wycieczek zarówno zimą, jak i jesienią.

KONIEC

Hanna Pętlak

Neris

Zespół Szkół Publicznych Szkoła Podstawowa w Umieszczu,
kl. 3

TAJEMNICZE TROLLE

Nie tak dawno temu w Norwegii, w wiosce Hellvik, żyła dziewczynka o imieniu Susanna. Susanna miała 10 lat. Miała piękne, bujne blond włosy, wijące się po plecach. Uwielbiała przygody, niezwykle historie i szalone wyprawy.

Pewnego słonecznego dnia, kiedy słońce świeciło jasno i grzało mocno, Susanna z rodziną wybrała się w podróż do latarni morskiej. Wędrowali długo po ogromnych, szorstkich skałach. Po chwili zauważyli zburzony żółty dom, a koło niego teleskop. Susanna zaraz podbiegła do teleskopu. Niestety, był zepsuty i nic nie zobaczyła. Szli długo. Latarnię było widać coraz bliżej i coraz lepiej, aż nagle znikła im z oczu. Przesłoniła ją ogromna skała. Za to przed nimi rozpostarło się sine, spienione i groźne, ale piękne Morze Norweskie. Szli cały czas bardzo blisko szumiących fal, przeszli mostek i nieoczekiwanie znaleźli się na miejscu. Nagle zrobiło się ciemno i zaczął padać deszcz. Szybko weszli do latarni. Zaraz za nimi weszły niemieckie zakonnice, które też chciały schronić się przed deszczem. Mama Susanny znała język niemiecki, więc rozmawiała z nimi. Tata Susanny poszedł na drugie piętro latarni, a Susanna pobiegła za nim. Była bardzo ciekawa, co tam jest. Kiedy już weszli, zobaczyli, że burza rozszalała się na dobre. Susanna przestraszyła się i pomyślała że nigdy stąd nie wyjdą. Zeszła na dół do mamy i zaczęła płakać. Mama pocieszała ją, choć nie było to łatwe. Kiedy Susanna przestała płakać, zobaczyła, że burza się uspokaja. Pomyślała, że to jej płacz pomógł uspokoić burzę. Ucieszyła się

tak bardzo, że aż zapiszczała z radości. Poprosiła mamę o kanapkę, którą zjadła w sekundę! Tymczasem tata zszedł na dół i powiedział, że już czas wracać do domu. Pożegnali się z zakonnkami i wyszli z latarni.

Przez drogę Susanna nie mogła się doczekać kiedy opowie swojej babci o podróży do latarni morskiej. Minęli mostek i zobaczyli, że z naprzeciwka nadchodzą jakieś kobiety z ptaszkami w klatkach. Kiedy Susanna zobaczyła ptaszki, szybko szarpnęła swojego tatę za koszulę i szepnęła mu do ucha, żeby kupił jej jednego. Mijając kobiety, tata Susanny zapytał, czy nie mogłyby sprzedać mu jednego ptaszka. Panie zgodziły się. Susanna wybrała ptaszka, a tata zapłacił 10 koron. Klatka z ptaszkiem była bardzo ciężka, więc Susanna nie mogła jej długo nieść. Gdy minęli żółty, stary dom i teleskop, było już ciemno! Susanna była tak śpiąca, że tata wziął ją na ręce, a mama niosła klatkę z ptaszkiem. Było już widać ich dom, bo znajdował się naprzeciwko drogi do latarni. Kiedy byli na swoim podwórku, Susanna szybko wbiegła do domu. Złapała za słuchawkę telefonu i zadzwoniła do swej babci. Opowiedziała jej wszystko o podróży. Niestety, nie mogła rozmawiać zbyt długo, bo było późno i musiała iść spać. Jutro czekała ich wycieczka rowerowa.

Następnego dnia, gdy wszyscy wstali już z łóżek i zasiedli do stołu, żeby zjeść śniadanie, tata Susanny zaproponował wycieczkę rowerową pomiędzy ogromnymi skałami. Susanna była jeszcze bardzo zmęczona po wczorajszej wyprawie do latarni, ale gdy tylko rodzice opowiedzieli jej historię o trollach, które można spotkać w tutejszych lasach, Susanna nie mogła usiedzieć w domu. Pobiegła do swojego pokoju i zaczęła pakować się na wycieczkę. Po chwili wszyscy byli już gotowi do podróży. Wyszli z domu i udali się po rowery. Kiedy weszli do garażu, Susanna zobaczyła obraz, którego nigdy wcześniej nie widziała.

Zapytała rodziców, kto na nim jest, a rodzice odpowiedzieli, że to właśnie trolle. Susanna wyobraziła sobie, że zobaczy takiego trolla. Chwyciła szybko rower i pośpieszyła do rodziców.

Wreszcie wyruszyli. Susanna jechała tak szybko, że raz dwa dotarli na miejsce. Kiedy wjechali między skały, Susannie wydawało się, że ktoś ich podgląda. Rozglądała się na wszystkie strony i za każdym razem nic i nikogo nie widziała. Już traciła nadzieję, że spotka trolla. Wtem... ktoś stanął jej na drodze. Jakieś dziwne stworzenia przypominające ludzi przyglądały jej się uważnie. Były to trolle. Susanna na początku przestraszyła się, ale szybko zrozumiała, że trolle nie zrobią jej krzywdy. Zapytała gdzie mieszkają. Troll Keros i trollka Sebera, bo tak miały na imię, wskazały jej małą dróżkę w głąb lasu. Z dała było widać strasznie zarośnięty niewielki szałas. Dziewczynka zmartwiła się bardzo, że takie miłe trolle nie mają żadnego solidnego kawałka dachu nad głową. Jednak kiedy podeszli bliżej, Susanna zrozumiała, że to wcale nie jest żaden mały zarośnięty domek! Z bliska ich dom wyglądał naprawdę wspaniale. Trolle zaprosiły gościa do domku i zaproponowały herbatkę z dzikiej róży. Susanna bardzo chętnie wypić herbatkę i podziękowała za ich gościnność. Po chwili trollka Sebera pokazała Susannie mały strumyczek, w którym pływały rybki z dziwnymi czapczkami. Troll Keros powiedział, że te rybki są magiczne i jak złapie się jedną rybkę i włoży do czapki trolla, to trzeba powiedzieć swoje marzenie, ale w odwrotnej kolejności liter. Wtedy Susanna pomyślała, jakie marzenie mogłaby spełnić rybka. Przypomniała sobie o ptaszku, że jest bardzo samotny. Zajrzała do kapelusza Kerosa i powiedziała „mybałaichc akzsatp”, czyli chciałabym ptaszka. Wtedy z kapelusza wyleciał jej ukochany ptaszek. Był taki piękny. Miał pięć kolorów: żółty, zielony, niebieski, pomarańczowy i fioletowy. Susanna, Sebera i Keros musieli go złapać, bo poleciał daleko do lasu. Musieli, niestety, skakać po

pokrzywach. Ach, jak to piekło! Susanna wreszcie złapała ptaszka, schowała go pod swój kapelusz i powiedziała trollom, że już czas na nią. Trolle odprowadziły Susannę do rodziców. Na końcu dróżki dziewczynka pożegnała się z niezwykle znajomymi, siadła na rower i odjechała. Jadąc poczuła się jakoś dziwnie. Wydawało jej się, że unosi się w powietrzu. W pierwszej chwili pomyślała, że to herbata z dzikiej róży ma jakąś magiczną moc. Jednak prawda była zupełnie inna. Niesamowite spotkanie z trollami okazało się jedynie snem zmęczonej wycieczką do latarni morskiej Susanny.

Po przebudzeniu dziewczynka zastanawiała się tylko nad jedną rzeczą: dlaczego jej ukochany ptaszek, który do tej pory miał szarobure piórka, nagle stał się taki piękny? Jego piórka lśniły w pięciu kolorach: żółtym, zielonym, pomarańczowym, niebieskim i fioletowym, a w powietrzu unosił się zapach dzikiej, leśnej róży.

Rakoczy Agata

Aga

Szkoła Podstawowa nr 4 w Jaśle, kl.3

DIANA I MICHAŁ – PODRÓŻ W CZASIE

Pewnego dnia Diana wyszła na spacer po ogrodzie, w którym, jak zawsze, miała spotkać się ze swoim przyjacielem Michałem. Gdy doszła wreszcie do ich sekretnego miejsca, Michał już na nią czekał.

– Gdzie ty się podziewasz? – zapytał chłopiec.

– Wiesz jak trudno przejść przez krzaki – powiedziała Diana.

– Pewnie martwiłaś się, że ubrudzisz sukienkę – powiedział zaczepnie chłopiec.

– Wcale nie. Ty przejdiesz tylko przez bramę i już tu jesteś – powiedziała Diana.

Po pewnym czasie, gdy już przestali się sprzeczać, Michał powiedział do Diany:

– Może poszukalibyśmy jakiegoś bardziej ciekawego miejsca?

Diana oczywiście nie słuchała, bo była zajęta patrzeniem na ptaki przelatujące nad rzeką.

– Słuchasz mnie czy nie, bo nie mamy za wiele czasu. Już zachód słońca.

Diana ziewnęła i popatrzyła na słońce, które jak mówił Michał właśnie zachodziło.

– Może wrócimy już do domu. Jutro poszukamy tego ciekawego miejsca do zabawy.

Następnego dnia Diana spotkała się znów z Michałem. Tym razem Michał miał ze sobą wielką mapę, którą pokazał Dianie. Na mapie czerwonym mazakiem był zaznaczony punkt,

który miał wskazywać na ich nowe, ciekawe miejsce spotkań i zabaw.

– Dziś tam pójdziemy – rozkazał Michał.

Diana z zakłopotaniem próbowała znaleźć sobie wymówkę:

– Ale to tak daleko i muszę zapytać rodziców o zgodę, zmienić sukienkę...

– Sukienka nie ważna i wcale tak daleko to tam nie jest, i tak w ogóle, to ma być tajemna skrytka.

Diana pomyślała przez chwilę:

– No dobrze.

Michał zadowolony takim obrotem sprawy polecił Dianie iść za sobą.

Po pół godzinny marszu Diana powiedziała.

– Mam dość.

– To już tylko parę kroków – zapewnił Michał.

Zobaczyli park w którym rosły kasztany, lipy i dęby. W parku było, jednym słowem przepięknie.

Usiedli na chwilę pod jednym z drzew.

Diana odpoczęła, Michał też.

– A więc ruszamy – stwierdził Michał

Gdy weszli w głąb parku, zobaczyli wiekowy budynek, w którym były stare zabawki z parku. Weszli do budynku i zaczęli podziwiać przedmioty znajdujące się w środku. W jednym z pokoi, za stertą zabawek i starym piecem kaflowym, zobaczyli na podłodze coś, co miało kształt kłapy. Michał wyjął nóż i podważył klapę, która ze skrzypnięciem zawiasów ustąpiła. Wtedy ukazały się ciemne schody. Po chwili zawahania postanowili zejść na dół. Ich oczom ukazał się ciasny, ciemny korytarz. Na szczęście Michał miał przy sobie latarkę. Gdy weszli w głąb korytarza, minęli kilka zakrętów. Na końcu korytarza były schody, które prowadziły w górę i zakończone były ścianą z desek. Michał pchnął ścianę, która z lekkim trzaskiem przesunęła się i nagle okazało się, że dzieci znajdują się we

wnętrzu jakiejś szafy. Gdy otworzyli drzwi szafy, znaleźli się w korytarzu, który zaprowadził ich do pięknie połączanej sali balowej. Trwały w niej właśnie przygotowania do balu. Po chwili zauważyła ich hrabina, która wyśmiała ich stroje i skrytykowała zachowanie. Michała ubrała w strój hrabiego, a Dianę w strój hrabiny. Zaczęła pouczać ich, co do zachowania, a potem zaprosiła na bal. Diana, która bardzo chciała być księżną wreszcie mogła uczestniczyć w prawdziwym balu, a Michał zobaczył prawdziwe szpady. Oboje spełnili swe marzenia. Gdy zakończył się bal, hrabina zaprowadziła ich do osobnych komnat, w których spędzili noc.

Po smacznie przespanej nocy hrabina i jej małżonek hrabia zaprosili ich na śniadanie na świeżym powietrzu. Po śniadaniu hrabia oprowadził ich po swoich posiadłościach. Pokazał im piękny park, stadninę koni, której był właścicielem i pałac, w którym było mnóstwo pięknych obrazów. Dzieci były zachwycone. Hrabia miał w pokoju szpadę, którą dostał jako nastolatek i dał ją Michałowi. Diana natomiast otrzymała od hrabiny piękną perłową koronę. Pod wieczór zjedli kolację i poszli spać. Trzeciego dnia pobytu w tym pięknym miejscu po śniadaniu dzieci postanowiły przejść się po parku. Gdy były w głębi parku, Diana zobaczyła bramę, której wczoraj nie było. Ciekawi postanowili zobaczyć, co za nią jest. Gdy przeszli przez bramę, zobaczyli asfaltową drogę i jadące nią samochody. Natychmiast zorientowali się, że powrócili do swojego świata, a gdy odwrócili się po bramie nie było ani śladu. Po powrocie do domów dzieci chciały podzielić się wrażeniami lecz nikt im nie uwierzył, więc te wspomnienia zostały tylko w ich pamięci.

Grupa II (kl. 4 – 6 szkoły podstawowej)
LISTA OSÓB NAGRODZONYCH

WIERSZE:

I MIEJSCE – NATALIA RUSIN
– *CYKL WIERSZY*

II MIEJSCE – JUSTYNA JANUSZ
– *CYKL WIERSZY*

III MIEJSCE – GABRIELA WNEK
– *CYKL WIERSZY*

WYRÓŻNIENIE:

ILONA STRONKOWSKA
– *CYKL WIERSZY*

OPOWIADANIA:

I MIEJSCE – MILENA RZOŃCA
– *PANI PUCHACZOWA*

II MIEJSCE – KAROLINA HAŁABIŚ
– *NA RATUNEK AIDZIE*

III MIEJSCE – AGNIESZKA HUDYMA
– *KURZ I PYŁ*

WYRÓŻNIENIE:

OLGA SAPIECHOWSKA
– *OŁOWIANY ŻÓŁNIERZYK Z SERCEM BEZ OŁOWIU*

Natalia Rusin

Natalia 8 i 5

Zespół Szkół nr 3

Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12 w Stalowej Woli, kl. 6

O POEZJO!

Poeci muszą dreptać
do nieba
na chudych nóżkach
Fantazji
z sylabami ustawionymi
w rządku
na bacność
to w nieładzie
epitety popychają
porównanie
onomatopeja krzyczy
rozzłoszczona
uosobienie nie rozumie
ożywienia
A apostrofa?
Ona jedna prosi
O natchnienie

Justyna Janusz

Justysia

Zespół Szkół nr 3

Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12 w Stalowej Woli, kl. 5

CZY UDA MI SIĘ?

Splatam baśnie
pawimi nićmi
wyobraźni dwunastolatki
prawie

Oblewam farbami
rzeczowniki
by ukwieciły
przeźroczysty opis
prawie

Obwiązuję czasowniki
tasiemką słówek
bez polotu
prawie

Czy uda mi się zapleść
słowo ze słowem?

Gabriela Wnęk

Gabi

Zespół Szkół nr 2 Szkoła Podstawowa nr 11 w Jaśle, kl. 5

LOS

Wieżę Los zmartwień całą furę
A droga ciągle pnie się w górę

Czy świeci słońce, czy niepogoda
Wciąż nie jest lekko, już z sił opada

Przybywa zmartwień, smutków i trosk.
Trudne jest życie – kto winny: LOS!

Może Mikołaj się ulituje
I renifery mu podaruje?

Może prezencik tu czy tam
By rozweselić życie nam?

Ilona Stronkowska

Bella

Szkoła Podstawowa nr 1 w Hrubieszowie, kl. 6

ŻYCIE JAK PEŁNIA KSIĘŻYCA

Jesteś jak pełnia księżyca.
Wiesz co macie wspólne?
Świecicie dla mnie.

Kolejny rozdział w życiu.
Ludzie się zmieniają.
Na lepsze, na gorsze,
lecz odrobina z dawnych nich
na zawsze w sercu zostanie...

Milena Rzońca

Zielona

Szkoła Podstawowa nr 2 w Jaśle, kl. 6

PANI PUCHACZOWA

Przed domem od wschodniej strony rosły dwa dorodne, srebrne świerki. Zostały posadzone zaraz jak tylko dom został zamieszany, miały już zatem 35 lat. Rozrosły się w ogromne, przysadziste kopy, wsadzając swoje gałęzie daleko poza siatkę ogrodzenia tak, że co roku trzeba je było przycinać, żeby nie drapały szpilkami przechodniów spacerujących po ścieżce. Sprawiały też dużo kłopotu w rynnach, nieustannie wypuszczając nowe gałęzie w stronę dachu i śmiejąc szpilkami. Nikt nie myślał, sadząc je, że wyrosną na tak dorodne, potężne drzewa, a ponieważ miały tylko kilka metrów miejsca, pomiędzy domem a dróżką, szybko je wypełniły smukłymi, długimi konarami.

Przez jakiś czas prababcia nalegała, żeby je wyciąć, bo zasłaniały zupełnie światło okna i widok na ulicę, czyniąc przez to pokój wiecznie zacienionym, ale ostatecznie żał po ich usunięciu byłby większy, niż ten cień za oknem, tak więc uchroniły się przed piłą.

Stanowiły za to świetny parawan, od strony ulicy dla balkonu, z pokoju na górze, z którego można było obserwować mieszkańców obu świerków.

Pewnej wiosny, końcem marca, kiedy stopniały już śniegi i ciepłe promienie słońca rozgrzewały od kilku dni zamarznąłą ziemię, na jednym ze świerków rozpoczęło się dziwne zamieszanie. Na gałęzi usiadła sowa – Pani Sowa a zaraz nad nią przysiadł się Pan Sowa – piękny Puchacz. Oboje stanowili prześliczną parę. Pan Puchacz miał ciemnopopielate upierzenie na przemian z białymi, cienkimi piórkami i dużą, płaską, nieco

ciemniejszą głowę, zakończoną wspaniałym, zakrzywionym, pomarańczowym dziobem pomiędzy parą czarnych, błyszczących i okrągłych jak piłeczki oczu. Na szyi, połyskującej metalicznym, zielonym kolorem, znajdowały się po bokach dwie białe plamy, które były widoczne już z daleka. Te dwie białe plamy na szyi, wraz z czarnymi przepaskami na zgięciach skrzydeł, pozwalały odróżnić bez kłopotu Pana Puchacza od subtelnie wybarwionej Pani Sowy. Ciemnopopielata pierś przyprószona różowo-białym nalotem, ciemno-stalowe skrzydła zakończone białymi brzegami i ciemnoszary ogon, na końcu którego widniał wyraźny czarny brzeżek, stanowiły uzupełnienie wspaniałego wyglądu Puchacza. Pani Sowa wyglądała zupełnie podobnie, jednak jakby nieco przyplówała, bez mocno wyrazistych kolorów, była subtelniej wybarwiona, choć wielkością dorównywała swojemu partnerowi.

Pan Sowa postanowił zadziwić Panią Sowę swoją ptasią osobą i rozpoczął pieśni oraz tańce godowe. Nadymał przy tym pierś i „chuchał” chu-chuu, chu-chuu, głośno, ale jego chuchanie było inne od wszystkich sowych „treli”: nie słychać było w nim tego długiego „chuchuuu, chuchuuu”, po którym tak łatwo rozpoznać sowy i tego charakterystycznego sowiego krzyku. Miały jednak przyjemny, głęboki w tonie głos z głębi starej puszczy, w rytmie: chu-chuuu, chu-chuu, chu-chuu. Kiedy jednak wychuchał już wszystkie znane sobie melodie, a Pani Sowa nadal nie przejawiała entuzjazmu, postanowił zaimponować jej ewolucjami w wieczornym powietrzu. Wzbijał się więc niewysoko, klaszcząc przy tym głośno skrzydłami, a potem zlatywał w dół z rozpostartymi szeroko jak latawce skrzydłami i szeroko rozłożonym ogonem, i ślizgając się jak szybowiec, lądował na gałęzi nad Panią Sową.

Pani Sowa – przyszła Pani Puchaczowa patrzyła z coraz większym podziwem na jego wyczyny. Kiedy w końcu zmęczony, ale zadowolony ze swoich akrobacji, spikował w dół i przysiadł

na gałęzi obok Pani Sowy, zobaczył w jej oczach uznanie dla swoich zdolności. Odpoczywał chwilkę, siedząc w milczeniu, a potem chuchając powabnym, niskim głosem, zaprosił ją do wspólnej wycieczki do pobliskiego gajku, co Pani Sowa przyjęła z radością i odlecieli w ciemny wieczór.

Następnego wieczoru pojawili się znowu i od razy przystąpili do przystosowania starego, gołębiego gniazda na własne potrzeby. Postanowili je odbudować w połowie wysokości drzewa. Sowy znosiły różne suche gałązki i składały je na szerokiej, wygodnej i rozłożystej gałęzi świerka w pobliżu pnia. Wyczyniał przy tym Pan Puchacz te swoje dziwaczne ewolucje, lecąc najpierw powolutku, stromo w górę i klaszcząc głośno skrzydłami, a następnie opadając lotem ciężkiego bombowca w stronę gniazda. Budowa trwała kilka dni, zwykle popołudniami. Nie było to jednak arcydzieło architektury.

Kiedy już zakończyli, gotowe gniazdo wyglądało dziwacznie: przypominało raczej stertę suchych, cienkich gałązek, ułożonych niedbale w kształcie wielkiego, płaskiego talerza, niż mięciutkie, przytulne mieszkanko dla małych sówek. Pani Puchaczowa dołożyła więc jeszcze kilka suchych źdźbeł trawy, przetykając je tu i ówdzie szarym puchem i uznała, że jest już dostatecznie wygodne. A kiedy już zniosła dwa, białomatowe, okrągłe jak piłki jajka, wysiadywała je nieustannie i niestrudzenie, nie dając się zwabić pozostałym ptasim sąsiadkom z pobliskiego lasu, zwołującym się na plotki na pobliskiej łące w ciągu każdego popołudnia i wieczoru. Pan Puchacz zmieniał ją w gnieździe tylko na czas potrzebny do pożywienia się.

Pewnego dnia Pani Puchaczowa przeżyła chwile grozy. Zamierzała właśnie wracać późnym, wiosennym wieczorem z pobliskiego pola, gdzie pożywiała się myszkami, kretami i owadami, wybierając je dziobem spośród grudek ziemi, traw i norek, gdy nagle zauważyła krążącego w pobliżu sokoła.

Chociaż była doskonałym, cichym lotnikiem o wspaniałym słuchu i w razie potrzeby rozwijała niezłą szybkość, jednak spotkanie z jej wrogiem, sokołem, znaczyło zawsze śmiertelne zagrożenie. Niewiele ptaków potrafiło mu ująć, kiedy już postanowił na nie zapolować. Przez moment przycupnęła nisko przy ziemi obserwując drapieżnika, a kiedy zauważyła, że zawisł w powietrzu nieruchomo, co oznaczało, że spadnie zaraz lotem błyskawicy na swoją ofiarę, poderwała się błyskawicznie do lotu, kierując się w stronę swojego starego świerku. W tym momencie sokół, który szykował się do porwania z ziemi małej, polnej myszki, zauważył Panią Puchaczową. Była niewątpliwie bardziej pożądanym kąskiem niż niewielka myszka. Rzucił się więc w natychmiastową pogoń za Panią Puchaczową. Czując podążającego za nią sokoła, sowa przyspieszyła lot, machając skrzydełkami najszybciej jak tylko mogła. Miała jednak jeszcze dość spory kawałek lotu do bezpiecznego schronienia w gnieździe na świerku, a ogromny wysiłek bardzo ją zmęczył. Poczula, że ubywa jej sił i jeśli nie doleci wkrótce, sokół dopadnie ją z pewnością. Czula jak dystans pomiędzy nimi się zmniejsza. Podjęła szybką decyzję i żeby ratować życie, skierowała się w pobliże zabudowania. Ostatkiem sił opadła na rynną dachu i szybko ukryła się pod okapem. Oddychała szybko z wysiłku i strachu, a serce łomotało jej nieznośnie. Odzyskiwała siły przez długą chwilę, obserwując troskliwie niebo, zanim odważyła się wylecieć z ukrycia i sprawdzić czy napastnik znikł. Kiedy już przekonała się, że jest bezpieczna, cichuteńko jak to sowa tylko potrafi, bezszelestnie pofrunęła w stronę gniazda.

Aż wreszcie, po prawie czterech tygodniach nieustannego wygrzewania jajek, w gnieździe wieczorną porą pojawiły się ślepe, pokryte kremowo-złotym puchem pisklęta. Wiecznie głodne i dokuczliwe, zwłaszcza wieczorami i nocą, pisklęta nie miały dla swojej matki litości, nieustannie wrzeszcząc głośno i dopominając się pokarmu. Obydwie sowy karmiły je na

zmianę, opiekując się nimi w gnieździe, gdy drugi z rodziców szukał pożywienia.

Pewnego jednak razu Pan Sowa nie wrócił o poranku do gniazda. Pani Puchaczowa cierpliwie wyczekiwała na jego powrót, ignorując wrzeszczące wieczorem praszyska, kiedy jednak zauważyła krążącego na niebie sokoła, zrozumiała, co się stało z Panem Puchaczem. Od tej pory dwoiła się i troiła, dokładając wszelkich wysiłków, aby wykarmić pisklęta. Cierpliwie znosiła ich przykre nawyki, całymi dniami, od zmierzchu do zmierzchu karmiła je owadami, myszkami, kretami, które lubiły najbardziej. Od czasu do czasu dokładając do ich jadłospisu ślimaki i żaby. Czasem była już tak zmęczona, że nad ranem zapominała o swoim pożywieniu. Bez cienia sprzeciwu mokła na deszczu w ciągu dnia, osłaniając pisklęta swoimi skrzydłami i ogrzewając ciałem, kiedy wczesną wiosną lodowaty, świszczący wiatr zacinął deszczem ze śniegiem, wciskając się nieznośnie pod pióra. Stroszyła wtedy bardziej piórka, żeby zwiększyć osłonę nad pisklętami. Kiedy już nieco podrosły, nieustannie uczyła je rozmaitych sztuczek. A to jak rozkładać skrzydła, jak skakać po gałązkach, jak czyścić piórka, kiedy już zaczęły nimi porastać gubiąc kremowy puch, jak bronić się w niebezpieczeństwie i cichuteńko, bezszelestnie siedzieć na czatach. Wszystkie te nauki czyniła w trosce o ich przysze, bezpieczne, dorosłe życie. Już niebawem okazało się jak przydatne były te nauki.

Pewnego razu, późnym, ciepłym wieczorem, kiedy Pani Puchaczowa poleciała, jak zwykle zdobyć pokarm dla swoich piskląt, na poręczy balkonu przylegającego do świerku, usiadła wstrętna, szara, ogromna wrona. Od dłuższego czasu obserwowała gniazdo i kiedy zauważyła, że pisklęta pozostają same, bez opieki, podczas nieobecności matki, postanowiła zapolować na nie. Byłyby smacznym kąskiem dla jej małych, obrzydliwych, kraczących wronek. Zeskoczyła więc z poręczy

balkonu i usiadła w pobliżu gniazda, wyczekując dogodnej chwili, żeby wyrzucić któreś z gniazda na ziemię, a stamtąd zabrać je łatwo do swojego gniazda. Pisklęta natychmiast zauważyły niebezpieczeństwo i rozpoczęły walkę o swoje życie. Nadęły wole i pióra wokół oczu tworząc z twarzyczek wielkie tarcze, rozłożyły świeżo opierzone małe skrzydełka i zaatakowały zbliżającą się do gniazda wronę, rozpościerając przy tym szeroko skrzydełka i nerwowo wyrzucając małe główki przed siebie. Wrona odskoczyła na moment, ale po chwili nie dała za wygraną i znienacka przyskoczyła do gniazda ponownie. Małe sówki powtórzyły tę samą strategię i wrona znowu odskoczyła. Próbowwała jeszcze dwukrotnie, ale za każdym razem bez skutku. W końcu dała za wygraną i zabrała się stamtąd rozżłoszczona.

Całemu zdarzeniu, gotowa do interwencji w obronie piskląt, przyglądała się z dachu Pani Puchaczowa, która właśnie nadleciała. Kiedy dzielnie stawiały czoła intruzowi i obroniły się, poczuła, że jest z nich dumna i spokojna, że będą umiały zadbać o siebie, kiedy już dorosną. W tym mniej więcej czasie, dołożyła do ćwiczeń naukę latania. Cierpliwie, każdego wieczoru pokazywała jak prostować skrzydła i machając nimi, zachęcała do naśladowania. Pokazywała przy tym jak ustawiać piórka, żeby lot był sprawny i bezszelestny jak to czynią sowy. Wkrótce sówki zaczęły nieudolnie wyskakiwać z gniazda na gałęzie, łopocząc przy tym niezdarnie skrzydłami. Pani Puchaczowa śledziła je pilnie, zawsze gotowa nadstawić skrzydeł, żeby je uchronić przed upadkiem. Kiedy umiały już nieco latać, zabierała je wieczorami i nocami na pobliską łąkę, gdzie zbierały się inne sówki – matki z pisklętami z pobliskiego lasu, żeby wprawiały się w nocnym lataniu, a także poznawały swoich kuzynów i kuzynki. A kiedy były już całkiem dorosłe i latały sprawnie, któregoś wieczoru wyfrunęły z gniazda bez wahania, bez okazania najmniejszej wdzięczności, zanim zdążyła się nimi nacieszyć. I nigdy już nie powróciły...

Cierpliwa matka długo jeszcze na nie czekała w gnieździe, z nadzieją, że chociaż zahuczą chu-chuuu, chu-chuuu do niej, przelatując nad gniazdem, ale one uwiły już własne gniazda i już nie pamiętały o niej. Pani Puchaczowa mieszkała w gnieździe samotnie jeszcze jakiś czas, wciąż mając nadzieję, że ją odwiedzą. Aż przyszła jesień, szara i bura i wtedy Pani Puchaczowa postanowiła odlecieć tam, gdzie zimują wszystkie sowy. Odleciała na zachód, ku wielkim, starym puszczom i starym drzewom. I od tej pory gniazdo Pani Sowy – Puchaczowej stoi puste ...

Jakiś czas potem babcia sprzedała czteropokoleniowy dom rodzinny i ogród, i piękne świerki a wśród nich puste gniazdo Pani Puchaczowej. Następnej, wczesnej wiosny nowy właściciel wyciął stare, srebrne świerki, puste gniazdo runęło wśród gęstych gałęzi jednego z nich, ostatecznie grzebiąc wszystkie, dobre i złe wspomnienia życia w tym domu i w ogrodzie.

Karolina Halbiś

Maja Chałwa

Zespół Szkół Publicznych Publiczna Szkoła Podstawowa
w Szastarce, kl. 5

NA RATUNEK AIDZIE

Był kolejny spokojny dzień w Lesie Aida. Słysząc było śpiew ptaków, w górze latał jeden z rzadkich pegazów. Tak czytelniku, masz rację, to nie jest las na naszej ziemi. Jesteśmy na planecie Aloes. Jedyne znane widoki w tym lesie, to motyle i ptaki wyglądające jak papugi. Krótko, mówiąc RAJ. Świat pełen wróżek i nimf wodnych na pewno jest niezwykle. Dwie młode czarodziejki, Piane i Melisa, nie mogły się nacieszyć tym, że zostały oficjalnie przyjęte do grona opiekunek lasu. A było to bardzo ważne odznaczenie. Odtąd miały obie opiekować się tym miejscem. Ich spokój przerwał jednak głośny szum. Nagle wszystko ogarnęła ciemność.

– Co się dzieje? – zapytała Piane.

– Nie mam pojęcia! – odpowiedziała Melisa.

I nagle pewna myśl napłynęła im do głów. To Eris! To czarodziejka uprawiająca czarną magię. Najwyraźniej Las Aida uznała za swój kolejny cel. Przed jasnowłosymi wrózkami ukazała się jej czarna postać.

– Kogo ja tu widzę? – rzekła słodkim głosikiem – Czyżby dwie świeżo upieczone opiekunki lasu? Mam nadzieję, że uchronicie las przed tragedią. Strach sparaliżował ciało Piane, a Melisa nie mogła wydusić z siebie słowa.

– Manis Deus! – wykrzyczała wiedźma.

Przecież to zakazane zakłęcie – pomyślała Piane. Nie myliła się. W jednym momencie drzewa zaczęły słabnąć. Wszystkie zwierzęta poczuły się zmęczone. Eris tylko się zaśmiała i znikła im z oczu. Czarodziejki puściły się pędem do Drzewa Życia. Było

to magiczne i bardzo mądre drzewo zarazem. Przerazone wróżki opowiedziały mu całą historię.

– Teraz las zacznie umierać!

– Nie wiemy, co robić!

Z drzewa wyłoniła się twarz starej kobiety. Był to duch czarodziejki Lili, założycielki tego miejsca. Jej twarz poorana była zmarszczkami, mimo to miała wesoły wyraz.

– To bardzo przykre, ale jeżeli opanujecie emocje, możecie coś na to zaradzić. We wschodniej części lasu przebywa smok, Laon. Jest strachliwy, ale gdy ktoś mu bliski jest zagrożony, zachowuje zimną krew. Zaprowadzę was do niego jutro. A na razie zbierzcie prowiant i inne potrzebne rzeczy. Najwyraźniej czeka was niezwykła podróż....

Opiekunki lasu od razu zabrały się do przygotowań. Piane zbierała jedzenie i przygotowała potrzebne koce oraz inne rzeczy. Melisa wertowała księgi z zaklęciami, które potem miała zabrać ze sobą. Następnie ćwiczyły najbardziej przydatne formuły czarodziejskie. To była niespokojna noc. Melisa nie mogła zmrużyć oka, a Piane miała koszmary. Skoro świt udały się do Drzewa Życia.

– O, nie spodziewałam się was tak wcześnie, ale chyba to lepiej, prawda? – powitało je Drzewo.

– Na czym polega to „teleportowanie się”? – zapytała Piane.

– Na wytłumaczenia nie ma czasu. Złapcie się obie za ręce i myślcie o waszym smoku. Uwaga! Na trzy. Raz... Dwa... Trzy...

– Dziękuję za pomoc! – krzyknęła Melisa.

– Teleporta! – Lilia wypowiedziała zaklęcie. Czarodziejki poczuły dziwne łaskotanie w brzuchu. Chwilę później znalazły się na miejscu. Ukazał się im niezwykły widok. Pod płaczącymi wierzbami leżał Laon. Na ich widok podniósł się uradowany, dał znak do odlotu.

– Zaraz, zaraz. A skąd mamy wiedzieć, gdzie lecimy – zaniepokoiła się Piane

– Ja to wiem – odpowiedział smok.

– Ty mówisz?! – zdziwiły się.

– Oczywiście, że tak! Ale nie ma co zwlekać, przecież Las jest w niebezpieczeństwie! Usiądźcie na mnie i lecimy!

Dziewczyny szybko zajęły miejsca. Smok zamachał skrzydłami i uniósł się w górę. Laon w oka mgnieniu minął Las Oidia i wzleciał nad Dolinę Rozkoszy. Był to wąż porośnięty różami, liliami i egzotycznymi żonkilami. Spod tego płaszczu kwiatów wyruszały na łowy pegazy w towarzystwie nieziemsko pięknych motyli. Przy małych strumykach śpiewały cudne nimfy wodne.

– To niezwykle... nigdy tu nie byłam – powiedziała Melisa.

– Co to za miejsce, Laon? – zapytała Piane.

– To Dolina Rozkoszy. Mieszkała tu kiedyś moja matka, ale wygoniły ją pegazy. Od tamtego czasu mieszkała w Lesie Aida, ale gdy ja się urodziłem, nie mogła już sobie poradzić z moim wychowaniem. Pewnego dnia zapłakana opuściła mnie. Przyjęły mnie do siebie inne smoki. Dzięki nim jestem tutaj z wami. Nadal kocham swą matkę i nie mam jej za złe, że postąpiła w taki sposób.

– Czyli pegazy nie są tak miłe na jakie wyglądają... – zamyśliła się Piane.

Nadchodził zmierzch. Odważna trójca zadecydowała, że spędzi noc w bardzo przytulnej jaskini okrytej piwoniami. Melisa wyciągnęła z worka Piane jedzenie. Po wspólnym posiłku wszyscy troje zasnęli. Zbudzili się o świcie i wyruszyli w dalszą drogę.

– Wbrew pozorom Kraina Bólu, w której mieszka Eris, nie jest tak daleko. Dzieli nas tylko Morze Zapomnienia i Przełęcz Radości – ciągnął Laon.

– Więc Eris miała nasz dom za łatwy cel. To dziwne, że nie zaatakowała krain znajdujących się w jej pobliżu wcześniej – zdziwiła się Melisa.

– Może woląta najpierw zniszczyć krainy silniejsze i dalsze od naszych, żeby uśpić naszą czujność – stwierdziła Piane.

Minęli bramę Doliny Rozkoszy i znaleźli się nad Morzem Zapomnienia. Morzem nazywano to miejsce, gdyż było tu wielu złych czarowników i elfów. Widok nie był za ciekawy. Po wielu drogach i drózkach snuły się smutne zwierzęta, na które czarownicy rzucali najróżniejsze klątwy. Nad głowami Piane i Melisy zaczęły się zbierać czarne chmury.

– O nie, burzowe chmury. Laonie, musimy się schować! Zlecieli na skalną półkę, gdy akurat rozpętała się burza. I wtedy zaczęło się coś strasznego. W ich stronę poczęły lecieć pociski przepelnione czarami.

– Porteco Maxima! – krzyknęła Melisa.

Nad ich głowami powstała wielka kopuła i żadne zaklęcie nie mogło przedostać się do nich.

– Expose metys! – Piane powaliła dwóch czarodziejów naraz. Laon też nie próżnował. Ział ogniem, gdzie popadnie. To była dodatkowa ochrona i zarazem broń.

– Cerasmus! – Melisa utworzyła kulę pewnej specyficznej siły i rzuciła na pewnego czarnoksiężnika.

– Perta casia! – zły czarodziej postanowił odwzajemnić się jednej z opiekunek lasu.

– Uważaj! – krzyknął smok. W tej chwili Melisa zorientowała się, że ogromny pocisk ognia leci w jej stronę.

– Austena Porte! – Piane odbiła zaklęcie i wróg poniósł klęskę. Laon z walki miał dużo radości. Dawno nie miał okazji ziać ogniem.

– A może to ci się przyda?! – Piane zaczęła tworzyć sznur wody. – To proszę bardzo, weź sobie! Aqua Slide!

Napastnicy dostali taką dawkę wody, że wystarczyłaby im na rok. W końcu czarodzieje poczęli się wycofywać, a burzowe chmury rozpedził wiatr. Zadowoleni wygraną walką, skierowali się do wnętrza skalnej półki. Nad nią była kolejna, więc tworzyła daszek.

– Flower enden – Melisa utworzyła girlandy roślin, które posłużyły za boczne ściany schronienia.

– Zostańmy już tutaj – zarządził Laon – Jutro wyruszymy do Przełęczy Radości.

Po spożytej kolacji, zajęli się dyskusją, żartami i wertowaniem ksiąg z zaklęciami. Piane pomyślała, że wbrew pozorom Laon nie jest strachliwy a odważny. Zaimponował jej swoimi umiejętnościami podczas bitwy.

Po paru godzinach poczuli się zmęczeni i ułożyli się do snu. O świcie zjedli niewielkie śniadanie, a Melisa usunęła girlandy utworzone z kwiatów. Wróżki usiadły na smoku i uniosły się nad tą smutną krainą. Po godzinie znaleźli się nad Przełęczą Radości. I wtedy wszyscy troje zaczęli tęsknić za Lasem Aida. Kraina, w której się znajdowali, była bardzo podobna do tego miejsca. Zielone lasy, wierzyby płaczące i niezliczone ilości gatunków roślin. Niestety jak okiem sięgnąć, była to mała przełęcz. Dalej rysowały się ciemne kształty Krainy Bólu.

– Jak widzicie już niedaleko. Wkrótce uratujemy Las Aida – powiedział Laon.

Minęcie przełęczy zajęło im dwie godziny. Kraina Bólu powitała ich ciemnymi wzniesieniami, sępami czekającymi na pożywienie. W oddali znajdował się zamek Eris. Piane wetknęła smokowi kawałek mięsa, a ten po szybkim posiłku od razu nabrał szybkości. Po godzinie dotarli przed bramy tej budowli. Czarodziejki zeszły z grzbietu Leona.

– Tylko cicho...Żeby nikt nas nie usłyszał – szepnęła Melisa.

Cicho wdarli się do wnętrza zamku. I doskonale wiedzieli gdzie iść. Najgorzej miał Laon. Jego wielkie ciało i duże łapy z trudem mogły się cicho poruszać. Ale i na to wróżki znalazły rozwiązanie.

– Silently hick – szepnęła Piane. I nastąpiła taka cisza jak makiem zasiał. Weszli na bardzo długie schody, wchodzili na nie pół godziny. Gdy znaleźli się u drzwi komnaty Eris, Melisa zarządziła, że Laon zostanie na zewnątrz. One same wejdą do środka.

Nastąpiła ta długo wyczekiwana chwila. Opiekunki Lasu Aida pewnym krokiem weszły do środka. Eris odwróciła się i zamarła na chwilę, a przez jej głowę przeszła myśl – Ach, więc to one przyszły się zemścić. Z tak potężną niszczycielką wszystkich krain jak ja, nie będą miały żadnych szans!

– Myślałaś, że ujdzie ci płazem to, co zrobiłaś? – powiedziała groźnie Piane.

– Myślałam, ale nie spodziewałam się was tak szybko! Cha, cha! – odpowiedziała opryskliwie Eris.

– To jest nasz dom, ty go zniszczyłaś! Więc teraz my zniszczymy ciebie!

– Jesteście zbyt młode i kruche, prędszej stchórzycie niż mnie zaatakujecie – stwierdziła pewna siebie Eris.

– Ach tak? To widać intuicja cię zawiodła!

– Cerasmus! – Melisa rzuciła urok.

– Perta casia!

– Aqua slide! – Piane włączyła się do konfrontacji.

– Austenta porte!

– Strongen! – Brzmiały zaklęcia.

Laon wyczuł, że jednak chyba będzie potrzebny do pomocy. Wpadł jak huragan do komnaty, na wszelki wypadek, zostawiając otwarte drzwi. I ogień poszedł w ruch!

Walka była bardzo zacięta. Zarówno Eris jak i czarodziejki były bardzo dobre w walce. Laon też był bardzo dobrą pomocą.

– Stone hex! – Piane oddała honory przyjaciółce.

– Queer mess!

Eris zamieniła się w kamień, aby od razu rozpaść się na kawałki. Wielka ulga zapadła w sercach bohaterek. Niebo pojaśniało, zamek z czarnego stał się biały. Zza chmur wyszło słońce. Świat stał się po prostu lepszy.

Po powrocie do lasu wielka radość zapanowała wszędzie. Wszystkie drzewa i rośliny zaczęły znowu rosnąć. Z wielu stron nadchodzili posłańcy z gratulacjami i wiadomościami, że z chwilą śmierci Eris ich krainy znowu powróciły do dawnego życia. Planeta Aloes znów tętniła życiem. A Piane i Melisa? Czarodziejki z coraz większą chęcią opiekowały się lasem. Wszystko było jak dawniej...

Agnieszka Hudyma

Laura

Szkoła Podstawowa nr 2 w Jaśle, kl. 6

KURZ I PYŁ

Był piękny, wiosenny dzień. Niestety, nie dla każdego. Monika Madejewska właśnie wracała ze szkoły. Bardzo się smuciła, ponieważ dostała jedynkę z matematyki.

Przez cały czas dziewczyna czuła, że ktoś ją obserwuje. To bardziej ją zaniepokoiło niż zła ocena. Jednak koło jej bloku stał tylko osiemdziesięcioletni staruszek. Wyglądał trochę podejrzanie, dlatego że ciągle na nią patrzył... Gdy dziewczynka doszła do mieszkania, już o niczym nie pamiętała.

Przypomniał jej o tym człowiek, który zadzwonił domofonem po jakiejś godzinie.

– Dzień dobry, mam przesyłkę – powiedział.

– Dzień dobry, już pana wpuszczam.

Posłaniec przyszedł do mieszkania dziwnie szybko.

– Witam- zaczął – mam przesyłkę dla pani Moniki Madejewskiej.

– To dla mnie, gdzie mam pokwitować?

– O tutaj. Dziękuję, do widzenia – pożegnał się

Gdy zamknęła drzwi, pomyślała, że już gdzieś widziała tę twarz. Wyglądał jak ten staruszek spod bloku, ale był o wiele młodszy. Dziewczyna nie mogła wiedzieć, że posłaniec właśnie rozplynął się w powietrzu...

Monika postanowiła otworzyć paczkę. Jakie było jej zdziwienie, gdy zobaczyła nowoczesny, duży mikroskop i doczepioną małą karteczkę. Treść brzmiała tak: „Nie wycieraj z niego kurzu, wieczorem wszystko wytłumaczę.” Rzeczywiście mikroskop cały był pokryty szarym proszkiem. Rodzice zbytnio

się nie dziwili. Często coś zamawiali, ktoś musiał się pomylić. Kartkę uważali za jakiś żart.

Wieczorem rodzice poszli do teatru. Mama poleciła Monice posprzątać pokój. Dziewczyna, by rozweselić tę nudną pracę, wyobraziła sobie, że buduje miasto. Z kaset robi sklep muzyczny, książki to biblioteka...

Nagle zadzwonił dzwonek do drzwi. Monika myślała, że to mama i tata czegoś zapomnieli. Myliła się. W progu stał posłaniec z małą paczuszką.

– Dobry wieczór – przywitał się.

– Dobry wieczór, pan już dzisiaj u mnie był. Chyba zaszła jakaś pomyłka, bo w paczce była rzecz, której nie zamawiałam ani...

– Nie było żadnej pomyłki – przerwał jej mężczyzna – oto kolejna paczka.

Posłaniec rozplątał się w powietrzu. Monika nie mogła uwierzyć własnym oczom. Szybko zamknęła drzwi. Bardzo się bała. Miała nadzieję, że wszystko jej się śni. Jednak od razu otworzyła paczuszkę. Znajdowało się w niej kilkadziesiąt ponumerowanych listów. Dziewczynka otworzyła pierwszy z nich. Przeczytała:

Moniko!

Piszę do Ciebie, ponieważ tylko w Tobie jedyna nadzieja. Wiesz, że istnieje coś takiego jak kurz i pył. Wszyscy uważają, że to zwykła rzecz... To jednak nieprawda. W tych małych drobinkach żyją mikroskopijni ludzie. Budują domy, bloki; jeżdżą samochodami i autobusami. Tamte istoty nie wiedzą o naszym istnieniu. Dowiedział się o nas Twój prapradziadek. Nie wiem jak, ale przeniósł się do tego świata. Dlatego żyjesz tu, a nie tam. Proszę Cię, byś czytała codziennie jeden list. Dowiesz się więcej o miejscu, w którym żył Twój prapradziadek. Wystąpił problem i trzeba się z nim uporać. Chcę Cię prosić o pomoc, ale

najpierw musisz wiedzieć więcej. Mikroskop przyda Ci się później. Żegnam.

Anonim

Ktoś dzwonił do mieszkania natarczywie. Monika się obudziła. Siedziała w salonie na fotelu. Gdy doszła do siebie, szybko otworzyła drzwi wejściowe. Ujrzała swoich rodziców.

– Czekamy i czekamy – powiedział zdenerwowany tato – mama zapomniała rękawiczek, a na dworze straszny mróz.

Mama zabrała rękawiczki i już rodziców nie było. Dziewczyna zamknęła za nimi drzwi. Wróciła do salonu.

– A więc jednak to był sen – ucieszyła się Monika.

Lecz na kanapie w dużym pokoju leżała paczka z listami. Brakowało tylko pierwszego.

Dziewczynka czytała codziennie po jednym liście. Zawsze po przeczytaniu Monika budziła się, a list znikał. Nie mówiła o tym swoim rodzicom. Tak upłynął miesiąc.

Monika wracała z biblioteki. Gdy w drodze powrotnej oglądała pożyczone książki, potrąciła starca. Kiedy zaczęła go przeproszać, staruszek powiedział.

– Nie przepraszaj Moniko. Specjalnie wszedłem na ciebie.

– Skąd zna pan moje imię? – zapytała zdziwiona.

– To ja, Anonim.

Tak, Monika poznała w starcu człowieka, który ją śledził. Domyśliła się, że to on wysłał jej mikroskop i listy.

– Możemy porozmawiać? – zapytał po dłuższej chwili.

Dziewczyna bała się go trochę, ale zgodziła się. Zaprosił ją do siebie. Wtedy Monika się zawahała, ale prośby Anonima ją przekonały. Starzec mieszkał trochę daleko, dlatego też doszli tam dopiero po 30 minutach. Anonim mieszkał w małym, żółtym domu. Od razu zaparzył jej herbaty.

– W wiadomościach na pewno słyszałaś, że teraz ludzie ciągle chorują – powiedział.

– Tak, ale to chyba normalne. Ludzie zawsze chorowali.

– Niezupełnie, ostatnio to się poszerzyło.

– Dobrze, mam nadzieję, że nie przyszedłszy tutaj rozmawiać o zachorowalności.

– Może cię zawiodę, ale o tym właśnie będziemy rozmawiać. Pewnie dużo się dowiedziałaś o tamtym świecie z moich listów. Również to, że nie możemy bez tych istot żyć. Produkują witaminy, tlen, dwutlenek węgla... Gdyby życie tam zaginęło, my też byśmy umarli... Może zaczniesz uważać mnie za dziwaka, ale kiedyś chciałem zbadać kurz. Zobaczyć jak to dokładnie wygląda. Skonstruowałem specjalny mikroskop, który później ci podarowałem. Pewnie zauważyłaś, że trochę różni się od innych. Już wiesz o czym się dowiedziałem. Pełno ludzi, budynków i samochodów. Od pewnego czasu ich obserwuję, nic nie jedzą i nie piją, nie wiem skąd czerpią energię. Kiedy pewnego dnia spojrzałem przez mikroskop, zobaczyłem, że miasto opustoszało. Od tego czasu ludzie zaczęli chorować. Niektórym duszno, bo wyczerpują się zapasy tlenu. Nie wiem, co się mogło stać. Musisz mi pomóc, twój przodek dostał się do tego świata. To znaczy, że ty możesz przejść do tamtego. Dowiedziałem się o twoim prapradziadku w archiwum. To moja druga pasja – czytać stare księgi. O twojej rodzinie są wzmianki od ślubu prapradziadków. Pisali o nim, że wygląda trochę inaczej. Może nie wiesz, ale był najmniejszym człowiekiem na globie. Po prostu skojarzyłem fakty.

– Ale jak mam się tam dostać i co mam zrobić?

– Trzeba się dowiedzieć, dlaczego ludzie zniknęli.

Moniko, musisz to odkryć, inaczej zginiemy.

– Dobrze spróbuję.

– Postaraj się dowiedzieć czegoś o twoim prapradziadku.

– Jutro jest sobota i jadę do babci, może tam czegoś się dowiem.

Monika pożegnała się z Anonimem. Powiedział, że to jego syn był posłańcem i znikanie to jego sztuczka.

Nazajutrz dziewczyna pojechała do babci Stasi. Babcia przywitała ją maślanymi bułeczkami i gorącym kakao. To była wspaniała atmosfera do niewinnych rozmów.

– Babciu, dobrze znałaś swojego dziadka? – zapytała dziewczynka.

– Nie za bardzo Moniczko. Zmarł, gdy miałam dwa lata. Dlaczego pytasz?

– A tak sobie, bez specjalnego powodu.

– To dobrze. Z niego było straszne dziwadło. Gdy przeszedł na emeryturę, codziennie zamykał się w swoim gabinecie i nikomu nie pozwalał tam wchodzić. Kiedy poważnie zachorował, zamknął gabinet na klucz i schował gdzieś go. Nikt nie wie gdzie on jest. Po tej chorobie mój dziadek zmarł... Więc drzwi gabinetu nadal są zamknięte.

– Można by je wyważyć.

– Oj moja kochana. Drzwi w tych czasach były solidne. Ach co ja ci opowiadam. Jakies dziwne opowieści. Jeszcze ci przyjdzie coś głupiego do głowy i zaczniesz się bawić w ratowanie świata.

Babcia Stasia nie miała pojęcia jak bardzo była bliska prawdy. Po południu poszła do koleżanki. Monika była więc sama w domu. Przy schodach na strych znajdowały się stare drewniane drzwi. Dziewczyna zawsze zastanawiała się, dlaczego są ciągle zamknięte. Teraz już wiedziała. Chciała się tam dostać. Nie miała tylko pojęcia jak znaleźć klucz. Pomyślała, że może być na strychu, ale potem ten pomysł wydał się jej banalny. Przeszukała sypialnie dziadków. W niej też nie było nic ciekawego. Później poszła do łazienki. Jedna niewidoczna kafelka miała błękitną obwódkę. Inne miały zielone. Monika spróbowała

ją ściągnąć. O dziwo kafelka ustąpiła bez trudu. Dziewczyna zamiast ujrzyć ścianę, zobaczyła małą półeczkę, w niej znajdował się klucz. Monika od razu podbiegła do drzwi gabinetu. Przekręciła klucz, pokój stał przed nią otworem. Całe pomieszczenie było pokryte kurzem. Na biurku leżały zapiski prapradziadka. Na środku pokoju stał wielki stół, a na nim przeróżne chemikalia. Dziewczyna nie zdążyła się dobrze rozejrzeć, ponieważ babcia już przyszła. Monika poszła z nią na spacer. Przez całą drogę nie pisnęła słówkiem o swojej tajemnicy.

Monika wróciła wieczorem do domu. Na następny dzień odwiedziła Anonima. Opowiedziała mu o wszystkim z wczorajszego dnia. Powiedział jej, że musi znaleźć jakiś pamiętnik przodka lub coś w tym stylu. Dziewczyna nie miała z tym żadnego problemu. Litery trochę wyblakły, a kartki pożółkły. Na szczęście udało jej się wszystko przeczytać. Okazało się, że prapradziadek dopuścił się strasznego błędu. Istoty na tamtym świecie nic nie jedzą, a on mimo zakazu coś spróbował. Anonim wyjaśnił jej, że jeżeli jej przodek dostał się tu coś jedząc, to znaczy, że ona nie może nic jeść. Monika uważała to za absurd. Postanowiła jednak spróbować. Mama bardzo się dziwiła, że nic nie chce jeść. Tato wytłumaczył mamie, że ma taki wiek i pewnie chce się odchudzać. Powiedział jej też, że za chwilę będzie głodna i coś zje. Monika nie wiedziała, że jeden dzień wystarczy. W następny poranek obudziła się w zupełnie innym miejscu. Anonim miał rację, udało jej się. W mieście, do którego trafiła, nie panowało w ogóle życie. Zapukała do jednych z domów, nikt nie odpowiadał. Okazało się, że drzwi były otwarte. Weszła. To, co zobaczyła, było przerażające. Żaden z domowników nie przeżył. W każdym z domów było to samo. Monika chciała uciec z tego przerażającego miejsca. Szybko coś zjadła. Po chwili znajdowała się w swoim łóżku. Był dzień wolny, dlatego od razu poszła do Anonima. Opowiedziała mu wszystko. Starzec był widocznie zły. Powiedział, że jego wnuczek opowiedział o tym

świecie swoim kolegom. To widocznie wywołało śmierć tych wszystkich ludzi. Ktoś nieodpowiedni dowiedział się o nich. Na szczęście była jeszcze nadzieja. Przodek Moniki napisał w swoim dzienniku, że zmarłych na tamtym świecie posypywali pyłem. Zmarli dzięki temu powracali do życia.

Monika następnego dnia wyruszyła do innego świata. Z wielkim trudem ożywiła wszystkich. Ludzie wrócili do pracy. Dziewczyna już z zupełnym spokojem chciała wracać.

Nagle się obudziła. Ucieszyła się, że jej dziwna przygoda była tylko snem. Ale na biurku leżał mikroskop i listy.

Więc to był sen czy jawa???

Olga Sapiechowska

Biedronka

Szkoła Podstawowa nr 2 w Kielcach, kl. 6

OŁOWIANY ŻÓŁNIERZYK Z SERCEM BEZ OŁOWIU

Dzielny ołowiany żołnierz stoi na swojej jednej nodze wśród licznych zabawek chłopca. Stoi tak już od wielu, wielu miesięcy. Ani drgnie. W bezruchu zamarła też piękna tancerka z jedna nóżką podniesioną do góry. Chętnie zakręciłaby zgrabne piruety, ale niestety nie może. Łabędzie z wosku daremnie odbijają się w lustrzanej tafli jeziora – nie ma ich kto podziwiać. Również złośliwy, czarny diabełek siedzi zapomniany wewnątrz tabakierki i choć skręca się wewnętrznie z wściekłości, to jednak nawet on nie potrafi temu zaradzić. Cały piękny, wzruszający świat baśni jest martwy. Dlaczego?!

Od wielu, wielu miesięcy żadne dziecko nie wzięło do ręki książki z opowieścią o dzielnym ołowianym żołnierzyku. A przecież może on przeżyć swoje przygody tylko wtedy, gdy ktoś zechce zainteresować się jego losami. Jakże chciałby znowu pokochać przepiękną tancerkę, wyruszyć w świat na papierowej łódeczce, nie bać się szczura, słyszeć szum fal i oglądać podwodne cuda, a nawet znaleźć się w brzuchu ryby. Tak! Nawet to byłoby lepsze od tego nieznośnego stania w bezruchu i wyczekiwania.

Tymczasem dzieci mają tyle pokus: komputery, filmy, gry, MP3 i 4, telefony... Cały kuszący świat elektronicznych zabawek. Cóż może zaoferować żołnierz? Tylko swoje czyste, dzielne serce, wzruszenie i chwilę zadumy... W dzisiejszym świecie to za mało... Chociaż...

Pewnego razu mała dziewczynka stanęła przed wystawą księgarni. Jej uwagę zwróciła bajecznie kolorowa okładka książki zatytułowanej „Baśnie Andersena”. Powiedziała do mamy:

– Kupisz mi ją? Kup, proszę.

Mama była zachwycona, że jej dziecko nie domaga się kolejnego zestawu figurek z modnej kolekcji, więc natychmiast spełniła prośbę córeczki. Po powrocie do domu i krótkim odpoczynku zaczęły czytać baśnie tam zawarte. Traf chciał, że pierwszą z nich była historia ołowianego żołnierzyka.

Wreszcie bohaterowie baśni mogli ożyć. Wszystko zaczęło się toczyć swoim z dawna ustalonym trybem. Wszystko? Nie! W pewnym momencie coś poszło nie tak...

Dawno, dawno temu w mieszkaniu chłopca na parapecie stał dzielny ołowiany żołnierzyk i wpatrywał się w swoją ukochaną tancereczkę. Rozmyślał o tym, czy kiedykolwiek uda mu się zdobyć jej serce. Nagle, cóż to? Złośliwy diabełek sprawił, że podmuch wiatru porwał figurkę i uniósł ją wysoko w górę (bowiem była to prawdziwa wichura). Żołnierz nie wiedział, co się dzieje, ale jego serce nie drgnęło, gdyż rozumiało dobrze, czym jest żołnierski honor. Huraganowy wiatr unosił go ponad dachami domów dość długo. Wreszcie ucichł. Wtedy żołnierz zaczął spadać. Nikt nie zauważył go, bo był bardzo mały. Nikt też nie słyszał jego cieniutkiego krzyku. Był w prawdziwych tarapatkach, ale nawet wtedy nie stracił swej odwagi i myślał tylko: „Jestem żołnierzem, muszę być dzielny”.

Nagle – plum! Znalazł się w jakiejś wodzie. Nie był to jednak rynsztok, jak się spodziewał. Cóż to za dziwne miejsce? Pełno tu półnagich ludzi wymachujących na wszystkie strony rękami i nogami. Biedna ołowiana figurka nie mogła wiedzieć, że jest to basen, w którym każdego upalnego dnia pluska się mnóstwo osób. Nie było tu ani piachu, ani ryb, tylko niebieskie kafelki. Żołnierzyk postanowił wołać o pomoc, ale zachłysnął się wodą i poszedł na dno. Leżał tam bardzo długo. Mógł tylko obserwować wciąż nowe postacie w kolorowych kostiumach, ale nie potrafił z żadną z nich nawiązać kontaktu. Któregoś

słonecznego dnia jakaś ręka chwyciła go za bagnet i pociągnęła w górę.

– Cóż to za poczwara? – usłyszał dziewczęcy głos.

Wtedy zorientował się, że musiał zaśniedzieć od długiego leżenia w wodzie. Trochę się zawstydził (wszak żołnierz powinien dbać o swój mundur), ale zaraz poweselał, bo usłyszał:

– Coś ty? Wydaje mi się, że to jakaś figurka. Jeśli się ją doczyści, może być bardzo ładna.

To mówiła inna dziewczynka, która miała miły, melodyjny głos.

– Ale ona jest jakaś wybrakowana, nie ma nogi! – kpila pierwsza z dziewczynek.

– I co z tego? Ja i tak już ją lubię.

– Dziwaczka! – żołnierz usłyszał pogardliwe prychnięcie i plusk. To oburzona koleżanka odpłynęła w inną stronę basenu.

Tymczasem właścicielka miłego głosu wyciągnęła go na powierzchnię i zabrała ze sobą do domu. Tam wzięła się do czyszczenia żołnierzyka. Pucowała go ściereczką i jakimś płynem o lawendowym zapachu. Bardzo go to łaskotało, ale stał nieruchomo, bo przecież dobrze wiedział, co przystoi żołnierzowi. Dziewczynka zachwyciła się pięknymi kolorami jego munduru, który zajaśniał czerwienią i błękitem. Podobała jej się też dziarska mina i smukła sylwetka ołowianej figurki.

– Bardzo cię lubię – powiedziała i ustawiła na biurku obok dużego pluszowego misia.

– Tutaj będzie ci dobrze, zobaczysz – dodała, a potem wyszła z pokoju.

– Jak masz na imię? – zapytał żołnierz, który wyróżniał się bardzo dobrymi manierami.

Niestety, nie można powiedzieć tego samego o misiu.

– Nie gadam z przybłędami – odburknął pluszak. – Przez ciebie musiałem się posunąć na biurku. Zresztą, kto wie, jakie zarzki przywlokłeś ze sobą. Fuj!

Żołnierzykowi zrobiło się bardzo przykro i małeńka ołowiana łza spłynęła z jego oka. Okropnie się zawstydził, bo przecież nigdy, ale to nigdy dotychczas nie płakał. Dlatego odwrócił się, aby miś niczego nie zauważył. Zrobił to jednak tak niezręcznie, że spadł na podłogę. Mały biały kotek, straszny psotnik, złapał go w pyszczek i zaczął się nim bawić. Turlał go tu i tam, aż wreszcie znudzony porzucił obok miski z kocim jedzeniem. Żołnierzyk zawołał:

– Pomocy! – licząc na jakąś życzliwą zabawkę znajdującą się w pobliżu.

Zrobił to jednak tak głośno, że usłyszała go dziewczynka krzątająca się w kuchni. Stała jak wryta, a oczy zrobiły jej się tak wielkie, że przypominały piłki plażowe. Już miała wrzasnąć ze strachu, ale usłyszała:

– Nie bój się. Ja po prostu nie jestem zwykłą figurką. Może czytałaś baśnie Andersena?

– Ja... ja.... tak... czyta... czytałam – jękała się zszokowana bidulka.

– To wobec tego wiesz, kim jestem. Tak, to ja, dzielny ołowiany żołnierzyk. Nieprzyjazne wiatry przywiały mnie w te strony, ale dzięki twojej dobroci zostałem uratowany od leżenia w wodzie po wieczne czasy. Dziękuję, że mnie uratowałaś, oczyściłaś i troszczyłaś się o mnie... – tu żołnierzykowi zabrakło tchu.

– Co teraz? – zapytała dziewczynka, która już odzyskała zdolność mówienia.

– Chciałbym się znaleźć blisko mojej ukochanej tancerki. Tak bardzo za nią tęsknię.

– Trudno będzie to zrobić, bo jak sam wiesz, jesteś ze świata baśni i pewnie jest tylko jeden sposób, żeby do niego wrócić. Niech pomyśle...

Dziewczynka zadumała się głęboko. Nie zapomniała jednak o tym, żeby podnieść żołnierzyka z podłogi i troskliwie obetrzeć

go miękką ściereczką. Stał teraz na kuchennym stole i z napięciem wpatrywał się w twarz nowej przyjaciółki. Ta jednak dość długo nie odzywała się, tylko marszczyła brwi, przygryzała wargi i mruczała coś niezrozumiale. Wreszcie wykrzyknęła:

– Wiem! Muszę cię wepchnąć do brzucha ryby! Przecież w ten sposób trafisz znowu do swojego domu. Miejmy nadzieję, że i tym razem rybę kupi właściwa służąca, a kucharka wydobędzie cię przed wsadzeniem ryby do pieca.

– Panie Andersenie, pomóż nam – szepnął błagalnie żołnierz.

Natychmiast wyruszyli na targ rybny. Podeszli do kramu z największymi i najpiękniejszymi okazami. Dziewczynka zagadywała przekupkę, grymasząc i wydziwając nad towarem, zaś lewą ręką próbowała wepchnąć przyjaciela do rozciętego rybiego brzucha. Nie było to przyjemne ani dla niej, ani dla żołnierza. Ale w końcu się udało. Teraz trzeba było tylko czekać.

Dziewczynka schowała się za sąsiednim kramem. Drżała ze zdenerwowania, choć powtarzała sobie, że wszystko musi się udać. Przecież magiczne, baśniowe siły powinny mieć w opiece tak dzielnego, wspaniałego, honorowego bohatera.

Niebawem nadeszła kobieta, która wybrała właśnie tę rybę z cenną zawartością w brzuszku. Zapakowała ją do koszyka i odeszła, a dziewczynka podążyła za nią. Szła ostrożnie, zachowując odpowiednią odległość, gdyż nie chciała, aby służąca coś podejrzewała. Myślami była ze swoim małym przyjacielem. „Będzie mi cię brakowało. Niech szczęście ci dopisze w twoim świecie. Niech tancerka obdarzy cię takim uczuciem, na jakie zasługujesz” – mówiła szeptem, choć wiedziała, że żołnierz nie może jej usłyszeć. Miała jednak nadzieję, że chociaż odczuje jej obecność i życzliwe myśli.

Nagle powiał huraganowy wiatr, który porwał piasek i śmieci z ulicy. Tuman kurzu na chwilę przesłonił dziewczynce

widok. Musiała złapać się latarni, żeby ustać na nogach. O posuwaniu się do przodu w ogóle nie mogło być mowy. Widziała kątem oka, jak wiatr zrywa czapki z głów nielicznych przechodniów, którzy też usiłowali się złapać jakiegokolwiek stałego obiektu. Wtem wichura ucichła. Zakończyła się równie nagle, jak się rozpoczęła. Dziewczynka rozejrzała się uważnie, ale nigdzie nie mogła dostrzec kobiety z koszykiem.

– Udało się! – wykrzyknęła tak głośno, że kilka osób obejrzało się za nią ze zdziwieniem.

Szybko pobiegła do domu i zabrała się do czytania baśni o dzielnym ołowianym żołnierzyku. Gdy skończyła, rozplakała się.

– Zapomniałam, jak smutne zakończenie ma ta opowieść. Biedny żołnierzyku, a mogłam cię ocalić. Stałbyś sobie u mnie na biurku i byłbyś całkowicie bezpieczny. A tak pozostałeś mi tylko na kartkach książki, ale za to obiecuję ci, że będę często do niej zaglądać i czytać o tobie. Na zawsze już pozostaniesz moją ulubioną postacią.

Postawiono żołnierzyka na stole. Z radością stwierdził, że udało mu się trafić do właściwego domu. Był wdzięczny dziewczynce za jej pomoc i dobre serce. Teraz jednak najważniejsza była tancerka. Z jakim wdziękiem stoi przed przesłicznym zamkiem! Jak pięknie wygląda jej buzia obramowana niebieskim szalem ze złotymi cekinami! Wzruszony żołnierzyk wpatrywał się w nią z miłością. Nagle jeden z chłopców chwycił go i rzucił wprost do pieca. Pewnie to znowu zazdrosny diabełek z tabakierki maczał w tym swe diabelskie pazury. Ołów stopił się, a w popiele pozostało niewielkie serduszko – dzielne, kochające, zawsze wierne serce żołnierzyka.

Czy warto było tak długo wyczekiwać na czytelnika? Czy warto było wracać do domu, w którym przyszło zginąć? Czy

warto było wiernie kochać tancerkę? Czy warto wciąż od nowa przeżywać tę historię? Odpowiedz sobie sam, drogi czytelniku. Ja dobrze wiem, jakiej odpowiedzi udzieliłby dzielny ołowiany żołnierz...

Grupa III (gimnazja)
LISTA OSÓB NAGRODZONYCH

WIERSZE:

I MIEJSCE – MAGDALENA BRATEJKO
– *CYKL WIERSZY*

II MIEJSCE – JUSTYNA SZAREK
– *CYKL WIERSZY*

III MIEJSCE – ANITA CZECHOWICZ
– *CYKL WIERSZY*

WYRÓŻNIENIE:

KARINA JUREWICZ
– *CYKL WIERSZY*

OPOWIADANIA:

I MIEJSCE – NATALIA JARECKA
– *DAMA KIER*

II MIEJSCE – MARTYNA SZCZUDLIK
– *DZIESIĘĆ SCHODÓW W DZIESIĘĆ DNI*

III MIEJSCE – NATALIA FUDACZ
– *WIECZNE JEZIORO*

WYRÓŻNIENIA:

KATARZYNA KRZYŻAK
– *STATUETKA*

KAROLINA SZTUBA
– *PIESKIE ŻYCIE*

Magdalena Bratejko

(Nie)poetka

Zespół Szkół nr 3

Gimnazjum nr 5 w Stalowej Woli, kl. 3

ŚWIADOMOŚĆ

celowałam pretensjami w niebo
wypalonymi zapalkami dziurawiłam
uśmiechnięte obłoki
szukałam powodów
fatalnej pomyłki
która zerwała nić przyjaźni
na drewnianej huśtawce
nastrojów
prowadziłam dialog z Bogiem
sklepienie ciemnych gwiazd
zasłoniło łzy
tęsknoty
prymitywna miłość
otworzyła serce
wybaczyła...

Justyna Szarek
Róża 2
Zespół Szkół
Gimnazjum w Lipnicy Dolnej, kl. 3

DOM RODZINNY*

???

brak

je
czy
miłość

mnień:

dujesz wśród wspo -
teraz o nim co odnaj -
a gdy po latach myślisz
pełnym tego czego potrzebowałeś
otaczałam murem niczym szalem
wypełniał on pustkę gdy deszcz
jak jest dom z Twoich wspomnień?
wręcz już przeraża Cię
kiedy nadmiar obowiązków
czasem rozmyślasz o nim
i co dzień szybko podążasz gdzieś
a kiedy teraz jesteś dorosły
gdy byłeś dzieckiem to był Twój raj
raz uśmiechnięty raz samotny
raz pełen ludzi raz pusty

*wiersz czytany od dołu

Anita Czechowicz

Aien Shu

Publiczne Gimnazjum w Cieklinie, kl. 2

SZKLANE ŁZY

Gdzie się podział Czerwony Kapturek?
Na której łące jest pszczółka Maja?
I krasnoludki opuściły ogród.

Jestem taka samotna!

Misie milczą jak zakłète.
A ta moja ukochana,
Ta wyśniona, wymarzona,
Z nią dzieliłam swe sekrety
– Moja lala, jest tak pusta.

Nie chcę dorosnąć!

Choć ostatni raz przemówcie!
Dajcie radość i zabawę
I przytulcie jak przyjaciel.
Ten ostatni raz.

Chyba nie jestem jeszcze
Całkiem dorosła,
Bo widzę,
Jak ze szklanych oczu
Płyną szklane łzy.

Karina Jurewicz

Bratek 1

Zespół Szkół nr 3

Gimnazjum nr 5 w Stalowej Woli, kl. 2

krzyczę jak opętana
diabelskim głosem
w stronę nieba
dla Ciebie piszę
bezustannie
rozdzielając wiatry bez jednej rysy
szukam na zdjęciach twojego uśmiechu
zapomniane wspomnienia – zapamiętać

Natalia Jarecka

Nataliusz

Zespół Szkół

Publiczne Gimnazjum nr 2 w Trzcinicy, kl. 2

DAMA KIER

część pierwsza

„Przegrałam, zanim zaczęłam grać w życie”.

/Barbara Rosiek/

Wieje. I to jak diabli.

Splątane włosy wdzierają mi się do nosa i ust, jestem zirytowana, odrzucam je co chwila, podczas gdy Billy Joe Armstrong wyje mi do uszu przeciągle "Wake me up when september ends". Jest zimno, czuję jak moje palce zamarzają, przybliżam je do twarzy i chucham, ciepła para ucieka przede mną w powietrze. Patrzę na nią w ciszy, dopóki nie zniknie.

– Cześć – słyszę nagle za sobą, odwracam się i pierwsze co widzę to kasztanowa burza włosów Gosi, a zaraz potem jej obrzydliwie szczery uśmiech, kiedy całuje mnie w policzek.

– Jak tam po sobocie? Musisz mi wszystko opowiedzieć. Gdzie poszliście, co robiliście... Wszystko.

– Jezu – wzdycham ciężko, ale silę się na słodki jak nutella ton i zaczynam opowiadać, choć Gosia już po pierwszych słowach mi przerywa i patrząc na mnie z poważną miną, pyta:

– Pocałował cię?

– Tak – odpowiadam sucho i staram się nie zwracać uwagi na jej beztroski śmiech i dziwny błysk, który znikąd pojawił się w jej oczach. – W każdym razie jutro idziemy do Czarnego. Wszyscy nas razem zobaczą, rozumiesz?

Gośka nagle poważnieje i spogląda na mnie z niepokojem.

– Nie idźcie tam.

– Niby dlaczego? Bo ty nie jesteś zaproszona?

– Nie, nie jestem i wcale nie chcę być – mówi. Czuję, że ją uraziłam, ale wcale nie jest mi przykro. – Aniu, u niego zawsze są drągi.

Patrzę na nią w milczeniu.

– No i? – pytam w końcu.

– No i?! – prawie krzyczy, widzę w jej oczach lęk, boi się o mnie? – No i?! Co ty mówisz?! Nie idź tam, rozumiesz?! Nie idź!

– Dobra, dobra, pogadam z nim – mówię, żeby ją uspokoić. Nie chcę afery, nie dziś. Ona jak zwykle daje się nabrać i siada koło mnie z wiarą, że naprawdę zrezygnuję ze spotkania z Karolem.

– Aniu, skarbie, co tak późno? Czekaliśmy z dziadkiem na ciebie z obiadem, myśleliśmy, że będziesz wcześniej...

Otwieram usta, żeby odpowiedzieć: No, Ania, dalej, jakieś kłamstwo, ale słowa uwięzły mi w gardle. Chwila, stop, wróć, wcale nie uwięzły, przecież nigdy ich tam nie było, a może jednak, myślę, może są. Szukam ich w sobie, chcę, żeby wypłynęły jak krew, ale krew nie przepłynie przez tamę, zaraz, stop, skąd tu tama? Przecież, żeby była tama, musi najpierw być rzeka...

Stoję jak słup i patrzę, stoję i patrzę, stoję i patrzę, patrzę, a ta malutka kobieta nachyla się w moją stronę, więc zaczynam się zastanawiać, czego ona ode mnie chce. Stoję i patrzę, i widzę czyjeś dłonie pocierające o nogawki spranych dzinsów. Paznokcie na tych dłoniach są całe obgryzione, fuj, ja też obgryzam paznokcie, moment, przecież to moje dłonie i moje paznokcie i moje dzinsy, stoję i patrzę, stoję i patrzę, a ta kobieta dalej się nachyla, Boże, czego ona ode mnie chce...

– Aniu... Aniu, kochanie, wszystko dobrze?...

– Tak, wszystko w porządku, zamyśliłam się...

Babcia dalej uśmiecha się z ufnością, sprawia wrażenie, jakby zaraz chciała obsypać mnie całusami, więc odsuwam się dyskretnie, zaledwie na kilka centymetrów, zachmurzone niebo odsuwa się razem ze mną.

– Babciu – mówię, kiedy zaczyna krzątać się w kuchni – mogę wyjść jutro do koleżanki?

– Pewnie – odpowiada z uśmiechem. – O której?

– Koło dwudziestej.

– Trochę późno – zastanawia się. – Ale pewnie będziecie się uczyć, więc możesz pójść, skarbie.

– Dziękuję, babciu.

Ze snu wyrywa mnie dźwięk przychodzącego SMS-a. "Aniu, nie dam rady po ciebie przyjść, spotkamy się na miejscu o 20, ok?". "Ok", odpisuję szybko i czekam na kolejną wiadomość. Żadna nie nadchodzi. Próbuję spać, ale głowa mi pęka od natłoku myśli. Zastanawiam się nad tym, co powiedziała mi Gosia, a im dłużej to robię, tym głupsza wydaje mi się wizja Karola – narkomana. Siadam na łóżku i rozglądam się po ciemnym pokoju. O, przez otwarte okno wpada Mucha. Siada na szafie, przyglądam się jej. Ma śliczną czerwoną sukienkę, od razu wpada mi w oko. Chcę taką samą, przydałaby się na imprezę u Czarnego, więc mówię:

– Gdzie kupiłaś sukienkę?

Potrząsa złotymi lokami i parska pogardliwie.

– Daj spokój, chyba nie bzzzamierzasz chodzić w czymś takim? Ty? Bzzz taką figurą?!

Nic nie odpowiadam, patrzę na nią, chodzi po szafie, chodzi po mojej szafie, i tylko jej gęste blond włosy podskakują przy każdym kroku. Chichocze obrzydliwie, rzuca na mnie ostatnie kpiące spojrzenie, po czym jednym szybkim susem wypada bzzz za okno.

Stoję na środku pokoju, dyszę ciężko jak po przebiegnięciu maratonu, ale za nic nie mogę sobie przypomnieć, jak, od kiedy i po co się tu znajduję, pamiętam tylko złote loki i kpiący śmiech. Podchodzę do szafy i przeglądam ubrania, szukając czegoś na wieczór. W końcu znajduję czarną sukienkę podobną do tej, którą miała na sobie Mucha. Jest prawie tak samo ładna. Ubieram ją i obracam się przed lustrem, podobam się sobie, Karol pewnie też będzie zachwycony. Usatysfakcjonowana rozbieram się i rzucam sukienkę na pierwszy lepszy wieszak. Łóżko w kącie wygląda jak zwiastun raj, więc nie myśląc wiele, rzucam się na zmiętą kołdrę i od razu zasypiam.

Kiedy kilka minut po dwudziestej przychodzę do Czarnego, impreza trwa w najlepsze. W powietrzu czuć zapach potu i wódki, na tle ciemnych ścian rysują się wyraźnie końce zapalonych jointów. Głowa pulsuje mi od głośnej muzyki, ostry męski rap to nie do końca mój gatunek Nigdzie nie widać Karola i przez chwilę prawie żałuję, że tu jestem, aż znajduję go ze skrzętem w ręce, siedzącego z kilkoma chłopakami przy stole w salonie.

– Anka! – krzyczy na mój widok, podchodzi do mnie i obejmuje mnie w pasie, składając na moim policzku mokry, śmierdzący wódką pocałunek. – To jest właśnie moja Ania – mówi do kolegów, rozmazując słowa. – Chodź, skarbie, usiądź tu z nami.

Posłusznie podchodzę do stołu i siadam na spłowiałej kanapie, czując na ramieniu ciepłą dłoń Karola. Chłopaki podsuwają mi pełen kieliszek, chwytam go z uśmiechem, ale nie piję, tylko wylewam jedną trzecią na podłogę, kiedy odwracają głowy w kierunku wchodzących do salonu. Choć jest mi niedobrze, nie daję tego po sobie poznać. Karol co chwilę spogląda w moją stronę i całuje mnie przelotnie. Widzę spojrzenia tych wszystkich dziewczyn, które stoją same pod

ścianą w krótkich spódnicach, wiem, że każda chciałaby być na moim miejscu i daje mi to chorą satysfakcję.

Po godzinie muzyka zdaje się być sto razy głośniejsza. Czuję jak przenika i rozsadza każdą komórkę mojego ciała. Coś łaskocze mnie po nodze, spoglądam w dół. Widzę włosy pijanej dziewczyny, leżącej nieprzytomnie koło moich stóp. Przenika mnie ostry dreszcz. Ktoś podchodzi i wyciąga do mnie rękę ze skrzytem. Odmawiam, ale chłopak nie daje mi spokoju, podpycha mi jointa pod nos, kręcąc głową, krzyczę, że nie chcę, więc bije mnie w twarz i w końcu odchodzi.

Chcę stąd wyjść. Patrzę na Karola, zdaje się nie widzieć, że mi się tu nie podoba. Próbuję go poprosić, żebyśmy wyszli, w domu jest tak głośno, że niczego nie słyszy, więc biorę go za rękę i ciągnę w stronę drzwi, ale kiedy tylko przytomnieje na tyle, by zobaczyć, co robię, opiera się i wraca do salonu.

Wychodzę. Sama.

Wracam do domu przed dziesiątą i przez chwilę mam nadzieję, że babcia z dziadkiem już śpią i że niepostrzeżenie wsunę się do pokoju, jednak widzę światło z okna kuchni. Mimo to idę po schodach jak najciszej, żeby nie zwrócić na siebie uwagi, a już na piętrze pędzę do łazienki, rozbieram się, wskakuję do wanny i odkręcam zimną wodę. Natychmiastowy chłód na ciele przynosi mi ulgę, woda miesza się ze łzami, a ja karzę samą siebie za tę chwilę słabości. Uderzam się w twarz, teraz oprócz nóg piecze mnie też ręka i policzek, dobrze, głupia, cierp, masz nauczkę, myślę.

– Aniu, wszystko dobrze, skarbie? – głos babci przedziera się pod drzwiami jak wąż, znowu zakładam maskę grzecznego wnuczki i mówię, opanowując się:

– Tak, babciu.

– Jak było?

– Fajnie – kłamię i brzydzę się sama sobą.

Słyszę jej cichnące kroki na korytarzu, obserwuję swoje blade nogi, na których pojawia się gęsia skórka, trzęsę się z zimna, ale wychodzę dopiero wtedy, gdy prawie nie mogę ruszyć rękami. Ubieram się powoli i idę do swojej sypialni, rzucam się na łóżko, ale o dziwo nie mam ochoty na sen, więc tylko leżę i wpatruję się w biały sufit.

Reszta tygodnia jest dla mnie koszmarem, wciąż czuję na sobie spojrzenia Gosi w stylu "a nie mówiłam". Karol nie dzwoni ani nie pisze. Tęsknię za nim, tęsknię za jego uśmiechem i za jego pocałunkami, i kiedy mówi mi, że jestem piękna. Tęsknię za rozmowami z nim i – Cholera! – tęsknię nawet za tym gorzkim zapachem wódki z jego ust. Chcę się z nim zobaczyć, ale od wtorku nie pojawił się w szkole, a ja nie chcę iść do niego do domu. Przez chwilę mam idiotyczne poczucie, że jest na mnie zły, ale odganiem je od siebie.

Duszę się samotnością. Chcę stąd uciec. Daleko. Jak najdalej.

– ... ochotę, skarbie? Kanapki, omlet, jajecznica?

Jakie to ma znaczenie? – myślę.

– Jajecznice, jeśli to nie problem, babciu.

Babcia rozbija kilka jajek na patelnię, smaży i po kilku minutach mam już przez sobą talerz z dużą porcją o wiele za słonej jajecznicy, ale jem i nie narzekam, chociaż mam ochotę wszystko wypłuć. Kiedy kończę, myślę, że wcale nie była taka zła i mam ochotę na dokładkę, ale babcia już wszystko zmywa i chowa do lodówki, więc milczę.

– Herbaty? – pyta po chwili, biorąc do ręki czajnik, a ja przytakuję.

Szum i stuk i świst i brzdęk i już piję gorącą herbatę z dużego kubka z niebieskimi tańczącymi misiami. Babcia siada naprzeciwko i przez chwilę patrzy na mnie, a potem otwiera usta i mówi:

– Aniu, zauważyłam, że ostatnio jesteś bardzo przygaszona. Czy coś się stało?

Obserwuję taniec niebieskich misiów. Jest dziwnie rytmiczny, raz-dwa, raz-dwa, raz-dwa, raz-dwa, czy to kankan? Obracam kubek, by zobaczyć, czy misie po drugiej stronie też tańczą do rytmu i nagle dostrzegam samotnego niedźwiadka, stojącego nieśmiało na uboczu, uśmiecham się do niego, a on odwzajemnia uśmiech.

– Jak masz na imię? – pytam. Mruga zawstydzony.

– Miś – odpowiada.

– Miś – powtarzam powoli. – To twoja rodzina?

– Tak – mówi – ale mnie nie kochają. Wolą tańczyć, niż stać tu razem ze mną... Zaczyna płakać, z jego oczek kapią niebieskie łzy.

Nieśmiało poklepuję go po plecach i pytam:

– A może... Może ja zatańczę z tobą?

Uśmiecha się, chwytam mnie za rękę, niebieska łapka przylega do mojej dłoni. O, już są dwie niebieskie łapki, bo przecież ja też jestem niebieskim misiem niebieskim misiem niebieskim misiem... Dlaczego stoję, chcę tańczyć, serce wybija rytm raz-dwa, raz-dwa, raz-dwa, raz-dwa. Miś trzyma mnie mocno za rękę, śmieję się do niego, nie puszcza. Chodź potańczymy! – mówi – chodź, chodź, chodź, chodź, chodź, chodź...

Gorąca herbata zalewa mi nogi, krzyczę z bólu. Biegnę do łazienki, biorę do ręki prysznic, odkręcam zimną wodę i polewam spodnie. Dżinsy przyklejają mi się do skóry, a ja czuję tylko ulgę.

Rano budzi mnie hałas na dworze, patrzę na komórkę i dociera do mnie, że to wcale nie rano, tylko środek nocy, dalej jestem cholernie zmęczona i mam ochotę rzucić się z powrotem na łóżko, ale odgłosy z zewnątrz są coraz głośniejsze, więc wstaję

z trudem, przecieram oczy i patrzę przez okno w dół.

Widzę Karola w krótkich czerwonych spodenkach i czarnej koszulce. Moje serce wykonuje jakąś dziwną sonatę, nogi uginają się pode mną, pokazuję mu, że zaraz zejść, kiwa głową. Mam na sobie tylko białą koszulę nocną, ale zimno w ogóle mi nie przeszkadza. Zbiegam po drewnianych schodach, trzymając się poręczy i wypadam boso przed dom. Na widok Karola kompletnie wariuję, chcę go przeproszać, przytulić, pocałować, ale zanim zdążę zrobić cokolwiek, on chwyta mnie za rękę i ciągnie w stronę lasu.

Księżyc rzuca niepokojące cienie na drzewa i czarną koszulkę Karola, ale ja nie boję się już ciemności. Nie boję się księżycy i krzyków sów. Leżące na ziemi małe gałązki ranią mi stopy, a mnie chce się śmiać, bo spocona ręka Karola jest bardziej rzeczywista od mojej.

Drzewa się kończą i wychodzimy na skąpaną w świetle księżycy polanę. Karol zatrzymuje się i patrzy na mnie z niepewnym uśmiechem.

– Przeproszam cię – mówi.

Przeprosza mnie, a ja jestem tak oszołomiona lasem, polaną, Karolem, wszystkim, że nie potrafię wydusić z siebie słowa. Spoglądam tylko na swoje brudne stopy i marzę o tym, żeby ta chwila nigdy się nie skończyła.

Przysuwa się do mnie i chwyta moją twarz w obie ręce, i już wiem, co za chwilę nastąpi, moje serce wali jak szalone.

– Ja... – zaczynam i tylko tyle udaje mi się wydusić, zanim mój umysł eksploduje.

Czuję, jakby czas stanął w miejscu.

Noc jest taka jasna. Trawa taka miękka. Ciało Karola takie ciepłe.

Wschodzi słońce, złota kula na atramentowym niebie. Nie czuję zmęczenia, jestem taka szczęśliwa, mogłabym tu siedzieć

i siedzieć całą cholerną wieczność. Czuję zapach Karola i to jest jedyna rzecz, która się dla mnie liczy.

– Karol? – pytam cicho.

– Tak?

– Nigdy mnie nie zostawisz, prawda?

Całuje mnie w czubek głowy.

– Nigdy.

Uśmiecham się, szczęście rozpiera mnie od środka, o rany

– myślę – to takie proste.

Karol wyciąga z kieszeni jointa i zapalniczkę.

– Chcesz? – pyta z uśmiechem.

Tym razem nie zastanawiam się ani chwili.

– Chcę – mówię zdecydowanie. Zapala skręta i daje mi, a ja biorę go do ust.

– Wiesz – mówi – jesteś dla mnie najważniejsza na świecie. Jesteś moją Damą Kier. Najsilniejszą kartą w grze.

Śmieję się.

– Dama kier nie jest najsilniejszą kartą w grze.

– Ty jesteś.

Wszystko jest takie piękne. Takie kolorowe. Kolorowe jak niebieski Miś. Karol się do mnie uśmiecha. Karol jest taki piękny. Taki kolorowy. Jak niebieski Miś.

Siedzę przed wschodzącym słońcem i jaram swojego pierwszego w życiu jointa.

Martyna Szczudlik

PoeMa

Zespół Szkół Publicznych nr 2

Narciarska Szkoła Sportowa w Ustrzykach Dolnych, kl. 1

DZIESIĘĆ SCHODÓW W DZIESIĘĆ DNI

Stary, wzniesiony z kamienia budynek, stał przy ulicy w otoczeniu wysokich, odwiecznych dębów. Od dawna był porzucony, a nikt się nim nie zajmował. Kiedyś pełnił rolę prywatnej siedziby, prawdopodobnie mieszkania. Po jego chłodnych ścianach wił się bluszcz. Wtapiał się w tło szarych bloków, nie przykuwając nigdy mojej uwagi. Tego dnia jednak, wiedzioną impulsem, którego nie potrafię racjonalnie wytłumaczyć, nie minęłam go, jak to miałam w zwyczaju robić. Przystanąłam i rozejrzałam się dokoła. Chodnik był pusty. Na moim osiedlu zazwyczaj było spokojnie, lecz tego dnia cisza wręcz namacalnie unosila się w powietrzu. Zdawała się być gęsta niczym mgła, a jednocześnie tak krucha, że można by ją zniszczyć choćby najdelikatniejszym pomrukiem. Nie chcąc zaburzyć tej naturalnej harmonii, wstrzymałam na chwilę oddech, po czym napałam naprzód, w stronę zszarzałego budynku. Minęłam bramę, która w większej części obrośnięta była powojem. Przeszłam przez niewielkie podwórko, noszące ślady zabaw dzieci z pobliskich mieszkań; porozrzucane łopatki do piasku, plastikowe naczynia, gdzieś w oddali przedziurawiona piłka. Maluchy często się tu bawiły.

Dotarłam do solidnych, drewnianych drzwi. Nacisnęłam klamkę, jednak nic się nie wydarzyło. Musiałam włożyć sporo siły, by drgnęły. Pociągnęłam je, aż w końcu uchylily się z nieprzyjemnym dla uszu skrzypieniem. Zapewne nikt nie otwierał ich od wielu lat. Postawiłam krok i od razu potknęłam się o stopień. Po chwili, gdy moje oczy przywykły już do

ciemności, zobaczyłam, że przede mną wznoszą się schody. Było to dosyć zaskakujące. Nigdy wcześniej nie widziałam skonstruowanego w ten sposób przedpokoju. Stałam na pierwszym stopniu, wpatrując się w przestrzeń przed sobą. Chciałam iść dalej, jednak coś w mojej podświadomości szeptało, że nie jestem jeszcze gotowa. A może to był zwykły lęk? Rozsądek przygasił moją ciekawość. Wycofałam się, starannie zamknęłam za sobą drzwi i powróciłam do domu. Kiedy znalazłam się w swoim pokoju, wydał mi się dziwnie ciasny i odległy, jakby jego rola dobiegła już końca. Myślami udałam się do intrygującego budynku. Wiedziałam już, że jutro tam wrócę...

Jako, że od zawsze skrupulatnie wypełniałam swoje postanowienie, to wczorajsze nie stanowiło żadnego wyjątku. Na dworze już szarzało. Wymknęłam się z domu pod pretekstem odreagowania szkoły krótkim spacerem. Podążyłam prosto do celu, przemykając pod oknami, w większości poóżłktych blaskiem lamp. Stanęłam u progu drzwi, weszłam. W środku panowały egipskie ciemności. Zostawiłam uchylone drzwi i w nikłym świetle dochodzącym z podwórka rozejrzałam się szybko wokół siebie. W kącie dostrzegłam jakiś przedmiot, który rysował się niewyraźnie na tle ścian. Podeszłam i podniosłam go na wysokość oczu. Świeca... Knot był szerniały, ktoś już kiedyś jej używał. Przejechałam dłonią po posadzce i po chwili natrafiłam na małe, tekturowe pudełeczko. Uśmiechnęłam się z zadowoleniem. Wszystko jakby czekało tylko mojego przyjścia. Podniosłam zapalki i zapaliłam jedną z nich. Po chwili knot świecy zajął się jasnym, niebieskawym płomieniem. Zdmuchnęłam zapalkę i wciągnęłam w nozdrza woń spalanej siarki. Przywiodła mi na myśl chwile spędzane w dzieciństwie przy babcinym kominku. Szybko odgoniłam z wyobraźni ten obraz, zamknęłam drzwi wejściowe i weszłam na drugi stopień. Przez chwilę czułam się nieswojo, przebywając w obcym

budynku, mając za jedyne źródło światła płomień świecy. Wystraszona, rozejrzałam się dookoła, choć wiedziałam, że nie zobaczę tam nic, czego do tej pory nie ujrzałam. Wzięłam głęboki oddech i stłumiłam w sobie pokłady lęku. Na ścianie, obok mnie wisiał obrazek namalowany dziecięcą ręką. Przyjrzałam mu się dokładnie. Przedstawiał dwoje wysokich ludzi, trzymających za rękę mniejszego człowieka. Byli to zapewne rodzice z dzieckiem. Przypomniałam sobie, jak dobrych parę lat temu sama tworzyłam takie „dzieła”. Pomyślałam o rodzinie. O wszystkich osobach tak bliskich memu sercu, że nie wyobrażałam sobie bez nich życia. Za sprawą tego jednego obrazka, w moim sercu coś się stopiło. W jednej chwili odrzuciłam wszystkie żale, które kumulowały się do tej pory na jego dnie i z rozczuleniem wspomniałam beztrioskie dzieciństwo. Miałam poczucie, że od tego momentu moje życie zaczyna się zmieniać. Kategoriecznie. Trzeci stopień. Stara, poplamiona fotografia przedstawiająca człowieka w wojskowym mundurze. Prawdopodobnie z drugiej wojny światowej. Wolność... Pierwszy raz pomyślałam o niej naprawdę poważnie. Zawsze ją szanowałam; jakże kochałam czas wakacji – dni wolne od szkoły... Jednak tym razem spojrzałam na nią szerzej, z innej perspektywy. Byłam wolna, dzięki ludziom, o których nie myślałam praktycznie wcale, nie licząc czasu spędzanego na lekcjach historii, gdzie byłam do tego najzwyczajniej zmuszana. Nagle poczułam, jak wspaniale jest być wolnym. Przywodziłam na myśl ptaka, który przez całe dotychczasowe życie miał związane skrzydła i rozwinął je dopiero teraz, by móc wzbić się w podniebną przestrzeń. Ma dusza przepelniła się wdzięcznością dla osób, które walczyły o wolność przyszłych pokoleń, w tym także i moją. Byłam wolna, ale dopiero teraz, gdy wyzwoliłam się z kajdan egoizmu, zasmakowałam tej wolności do dna.

Czwartego dnia, gdy oświetliłam płomieniem świecy ścianę nad kolejnym stopniem, moim oczom ukazało się

mnóstwo różnorodnych przedmiotów i ozdóbek, porozwieszanych na niej w nieuporządkowany sposób. Były wśród nich hinduskie talizmany, fotografie ciemnoskórych plemion, pióra pochodzące zapewne z indiańskich pióropuszy, chaotycznie zapisane kartki, wyrwane z notesu jakiegoś podróżnika. Nad moją głową, do ściany przybity była młotek, a obok niej zawieszono delikatną, kobiecą rękawiczkę, zupełnie kontrastującą z tym mało eleganckim przedmiotem. Po krótkim namyśle, doszłam do wniosku, że w tym domu bardzo ważną rolę odgrywała tolerancja. Kolejny raz zmuszona byłam zastanowić się nad swoim zachowaniem. Bez wątpienia szanowałam odmienne kultury, narodowości czy religie. Jednak niemal zawsze przyjmowałam, że to ja mam rację, a przekonania innych traktowałam jako naiwne lub błędne. Moja nietolerancja codziennie zataczała koło, a ja z każdym kolejnym obrotem traciłam punkt zaczepienia – ludzi, których mogłam nazywać prawdziwymi przyjaciółmi. W końcu zaczęłam wirować wokół samej siebie, nie mając już nikogo, kto mógłby zatrzymać tę karuzelę chorych wyobrażeń. Dopiero teraz ujrzałam, jak bardzo się myliłam. Potrzebowałam wiele czasu, ale udało się. W myślach wysłałam list z przeprosinami do każdej osoby, która cierpiała kiedykolwiek przez moją próżność...

I tak każdego dnia pokonywałam kolejny schodek, odkrywając wartości, bez których życie jest całkiem puste... Zrozumiałam, że jedynie wtedy, gdy kierujemy się nimi na co dzień, nasze jestestwo przybiera na wartości, stając się w efekcie bezcenne. Honor, szacunek, miłość, wiara, życie...

W końcu stanęłam na ostatnim, dziesiątym stopniu. Przede mną wisiało lustro. Zdziwiona przyglądałam się zwierciadlanemu odbiciu. Weszłam tu będąc kilkunastoletnią dziewczynką, teraz widziałam przed sobą młodą kobietę. Nacisnęłam klamkę mosiężnych drzwi, na których wygrawerowano napis „Dorosłość”. Mieszkanie, w którym się

znalazłam było puste i nieumeblowane. To w nim od dzisiaj miałam zamieszkać...

Natalia Fudacz

Muffinka

Gimnazjum Integracyjne w Osieku Jasielskim, kl. 2

WIECZNE JEZIORO

Łza spływająca po policzku matki, jest jak nóż rozdzierający serce. Przecież jestem szczęśliwa. Może nie w takim sensie, jakim ona by chciała, abym była, ale jestem. W końcu cieszę się życiem i wiem, jak bardzo jest ono ważne. Jednak wyrzuty sumienia nie dają mi spokoju. Tyle lat zmarnowałam na narzekanie, marudzenie, denerwowanie się, a przecież żyłam w dostatku, niczego mi nie brakowało. Dopiero teraz widzę, jaka byłam niezdolna. To dzięki chorobie zaczęłam cieszyć się z drobiazków, z każdego przeżytego dnia. Polubiłam nawet mojego nowego znajomego – Mrocznego Żniwiarza. Mówię to mamie, ale ona mnie nie rozumie. Dziwię się jej, bo zamiast cieszyć się z tego, że kolejny dzień mogła oglądać swoją córkę żywą, to ona non stop płacze. Ojciec mi tłumaczy, że matka nie może się pogodzić z tym, że wkrótce umrę. Nawet ja sama się z tym pogodziłam. Przynajmniej w ojcu mam oparcie. On też to bardzo przeżywa, ale nie płacze. I mówi mi, że jest ze mnie dumny, że tak patrzę na tę całą sytuację.

Nie wiem, ile dni zostało mi do końca, prawdopodobnie niewiele.

W poniedziałek rano miałam chemioterapię, ale tata mi obiecał, że jak wrócę do domu, to pojedziemy na wieś do babci. Stamtąd nie jest tak daleko do szpitala, a jak on mawia: „świeże powietrze dobrze mi zrobi”. Mama trochę kręciła nosem, chciała, żebym została w domu, bo bliżej szpital i w ogóle. Ona najchętniej zamknęłaby mnie w domu. Na szczęście tata mnie

wspierał w tych trudnych chwilach. Gdyby nie wpłynął na matkę, to zabroniłaby mi spotkań z przyjaciółmi.

Z Ewą i Marcinem przyjaźnię się już od podstawówki. Do tej pory widywaliśmy się codziennie, teraz jest to niemożliwe. Kocham ich jak rodzeństwo, którego nigdy nie miałam. Często chodziliśmy do pizzerii, na kręgle, czy zwykłe spacery. W zeszłym roku, kiedy jeszcze nie wiedziałam o chorobie, byliśmy razem na wakacjach. Mimo że z rodzicami co roku jeździliśmy na Mazury, nigdy nie byłam tak szczęśliwa jak wtedy. Spaliśmy w domku letniskowym moich rodziców. Oczywiście oni też byli, nie puściliby mnie bez opieki, ale w sumie to nie wtrącali się do tego, co robimy. Wiem, że cały czas nas obserwowali i pilnowali, ale robili to z odpowiednim dystansem. Podczas wyjazdu przysięgliśmy sobie, że w tym roku też tam wyjedziemy i zrobiliśmy to. Nie była to mądra decyzja, ze względu na sytuację, ale nie żałuję niczego, gdyż myśl, że już nigdy mogłabym nie zobaczyć jeziora Śniardwy, przyprawiała mnie o dreszcze.

Wieczorem, tak jak obiecali, rodzice odwieźli mnie do dziadków. Tata przekonał mamę, abym została tam bez nich i odpoczęła od tego wszystkiego. Jego zdaniem, babcia świetnie się mną zajmuje. Też tak uważam. Może jest trochę nadopiekuńcza, ale w przeciwieństwie do mamy, daje mi pewną swobodę. Wiedziałam, że będąc u babci, nie zobaczę się z przyjaciółmi, ale jakoś to zniosłam, gdyż pojechałam tam tylko na kilka dni, bo we wtorek miałam chemioterapię. Poza tym bardzo się stęskniłam za dziadkami. Dawniej nie lubiłam tam jeździć, bo się nudziłam. Nie było komputera, w telewizorze tylko kilka kanałów, w okolicy żadnych rówieśników. Ale ostatnio wręcz uwielbiałam tam przebywać. Często rozkładałam koc w ogrodzie i leżałam, słuchając muzyki, czasem pisałam jakieś wiersze. Nie były to utwory o chorobie, ani cierpieniu.

Najczęściej pisałam o roślinach, zwierzętach, czasem o moich dziadkach. Mój ulubiony wiersz miał tytuł „Raj”. Opisywałam w nim wieś, bo dla mnie była ona rajem... Ten szelest liści, którymi targał wiatr, zapach kwiatów, wesoly świergot ptaków, szczekanie psa...

Dojeżdżając na miejsce, mama poinstruowała mnie, jak mam się zachowywać, uważać na siebie i tak dalej. Babci oczywiście też gadała, że ma na mnie uważać, bo byłam wtedy bardzo osłabiona. A ja nie byłam bardzo osłabiona, może troszeczkę. Ale przecież po to tam jechałam, żeby nabrać sił.

Babcia zauważyła nas przez okno, bo wybiegła do bramy.

– Słoneczko moje! Tak się stęskniłam za Tobą! – krzyknęła jak tylko wyszłam z samochodu i od razu zaczęła mnie ścisnąć i całować po policzkach. – Szkoda, że przyjechałaś na tak krótko. Te kilka dni to zbyt mało, żeby porządnie odpocząć. No, ale wakacje dopiero się zaczęły, więc mam nadzieję, że w lipcu i sierpniu jeszcze nas odwiedzisz.

– Jasne, babciu – uśmiechnęłam się. To zrozumiałe, że chciałam jeszcze do nich przyjechać przed śmiercią.

Tata wnosił do domu moją walizkę, a ja z mamą i babcią usiadłyśmy w wiklinowych fotelach na werandzie. Mama oczywiście zaczęła swoją przemowę, na temat: „Jak obchodzić się z Sarą”.

– Jak z jajkiem – rzucił dziadek, który wyszedł właśnie z domu. Ucieszyłam się na jego widok, przytuliłam go mocno i wróciłam na swoje miejsce. Przyglądając mu się, zauważyłam, że się postarzał, wyłysiał już prawie całkiem, wymizerniał, a do chodzenia potrzebował laski.

Zbliżał się wieczór, rodzice odjechali, a ja byłam zmęczona. Powiedziałam babci, że chciałabym się umyć i pójść spać. Ona nie miała absolutnie nic przeciwko temu, zapytała jeszcze, czy na pewno nie jestem głodna i zaprowadziła mnie do łazienki.

– Tutaj masz płyn do kąpieli, ręcznik, szampon i inne niezbędne rzeczy, musisz tylko wziąć sobie swoją szczoteczkę.

– Dziękuję, babciu, ale szampon nie będzie mi potrzebny – powiedziałam i uśmiechnęłam się. Zauważyłam, że babcia trochę się zmieszala. – Przepraszam, nie powinnam była tak mówić.

– Nie szkodzi, to ja przepraszam. No, ja już ci nie przeszkadzam. Dobranoc.

Grzecznie odpowiedziałam i zamknęłam drzwi. Popatrzyłam w lustro, ściągnęłam swoją bandanę i zobaczyłam zupełnie łysą głacę. Od małego nosiłam bandany i ukrywałam włosy, które były w mysim kolorze, więc ich brak zbytnio mi nie przeszkadzał. Czasem tylko żałowałam, że jestem łysa. Na przykład na tych wszystkich bankietach, na które zabierał nas tata. Dziewczyny miały wtedy wymyślne koki lub włosy popuszczone na plecy, a ja, jak zawsze, w czarnej bądź czerwonej bandanie. Mama chciała kupić mi perukę, ale się nie zgodziłam. Wolałam nie mieć włosów wcale, niż ubierać sztuczne.

Na wsi dni mijały mi beztrąsko. Leżałam w cieniu kasztanowca, wymyślałam nowe wiersze, słuchałam muzyki, moczyłam nogi w stawie i ogólnie wypoczywałam. Babcia karmiła mnie domowymi pierożkami, rosółkiem, kompozycjami. Sielanka. Trochę tylko tęskniłam za Ewką i Marcinem, fajnie byłoby, gdyby byli tutaj ze mną. Nawet powiedziałam o tym babci, rzekła, że nie widzi problemu, więc natychmiast zadzwoniłam do Ewy, ale ona miała jakieś tam ważne sprawy do załatwienia. Nie gniewałam się, w końcu ona też ma swoje życie, a wiedziałam, że zobaczymy się wkrótce, bo po południu miałam chemię.

Nadszedł dzień pożegnania z dziadkami. Mama wysiadła z samochodu, rzuciła mi się na szyję, wypytała, czy wszystko w porządku i poszła po moje rzeczy. Jak zwykle przed

chemioterapią trochę się stresowałam. Nie lubiłam tego, a przed tym miałam jeszcze mieć robione wszystkie badania.

– Cześć Saro, jak się miewasz? – spytał mnie na wstępie lekarz.

– Dziękuję, w porządku. Byłam na wsi, więc trochę wypoczęłam – skłamałam. Prawdę mówiąc, ostatnio czułam się gorzej.

– To wspaniale. Zaraz zrobimy wszystkie niezbędne badania – posłał mi uśmiech.

Po badaniach siedziałam w korytarzu, a rodzice rozmawiali z doktorem. Pielęgniarka nie zamknęła dokładnie drzwi, więc słyszałam wszystko dokładnie. Miałam przeczuty. Nie byłam zszokowana, wiedziałam, że to nastąpi prędzej czy później. Jednak szkoda mi rodziców, to nie będzie dla nich łatwe. No cóż, chemia już w wielkim stopniu przedłużyła mi życie, więc nie wiedziałam, po co te pretensje mamy do lekarza, że nie starali się odpowiednio. Słyszałam po głosie, że ma ochotę się rozplakać, ale nie chce tego zrobić. Wiedziała, że kiedy to zobaczę, będę już wszystko wiedziała. Najwyraźniej nie zauważyła, że pomiędzy drzwiami a ścianą jest szczelina, a ja siedzę wystarczająco blisko, by dokładnie słyszeć ich rozmowę.

– Kochanie, wszystko jest w porządku – skłamała dość wprawnie mama, wychodząc z gabinetu.

– Mamo, chyba jestem na tyle duża, żeby powiedzieć mi prawdę. Będę mieć teraz chemię?

– Nie, lekarz powiedział, że jesteś zbyt osłabiona.

– Uhm. To nawet lepiej, chciałabym iść już do domu.

Tak więc wróciliśmy do domu. W samochodzie mama skarciła mnie, że podsłuchuję i się rozplakała, a ja miałam już dość tego ciągłego płaczu. Dołowała mnie tym jeszcze bardziej.

Mroczny Żniwiarz coraz częściej przypominał mi, że powinniśmy się zaprzyjaźnić. Chciałam jak najlepiej wykorzystać czas, który mi pozostał, ale nie bardzo miałam jak, bo czułam się

coraz gorzej. Byłam bardzo słaba, ale przed rodzicami udawałam silną.

Wieczorem odwiedził mnie Marcin.

– Cześć, jak się masz? – spytał, wchodząc do mojego pokoju.

– Cześć. Nie najlepiej.

– Dlaczego?

– Marcin, ja umieram – odpowiedziałam mu, a po moim policzku popłynęła pierwsza od kilku miesięcy łza. – Czuję, jak moje ciało umiera. Komórka za komórką, organ za organem. Zostało mi niewiele czasu.

W objęciach Marcina czułam się bardzo bezpiecznie. Był, zresztą dalej jest, najwspanialszym przyjacielem pod słońcem, a ludzie, którzy mówią, że przyjaźń damsko-męska nie istnieje, są w błędzie. Istnieje i ma się bardzo dobrze.

– Słuchaj, nie będę mówił, że wszystko będzie dobrze, bo nie będzie, – szeptał mi do ucha, a jego głos drżał coraz bardziej – ale musimy wykorzystać ten czas. Powiedz mi, o czym teraz marzysz?

– Wiesz... Chciałabym zobaczyć Mazury.

Nie spodziewałam się takiej reakcji Marcina. Zapytał mnie, czy mam plany na sobotę.

– Nie.

– Więc już masz. Jedziemy na Mazury.

– Marcin, chyba nie dam rady. Nie mam na tyle siły, żeby dojść do warzywniaka, a co dopiero taka podróż? – Ogarnęła mnie taka rozpacz, że mój przyjaciel trochę się zmieszał. Wytarł mi łzy i rzekł:

– Dasz radę.

No tak, cały Marcin. Uparty jak osioł, ale Ewie ten pomysł nie spodobał się zbytnio. Powiedziała, że to jest nierozsądne w obecnej sytuacji. Jednak udało nam się ją przekonać i w sobotę pojechaliśmy w ostatnią podróż w moim

życiu. Wiedziałam o tym, ale i tak byłam przeszczęśliwa. Musiałam tylko wymyślić jakąś wymówkę dla rodziców, ale to nie problem. Skłamałam im, że idę do Ewy na cały dzień.

Nadeszła w końcu upragniona sobota. Była godzina dziewiąta, więc za chwilę mieliśmy wyjechać. Spakowałam do torebki lekarstwa (na wszelki wypadek), o całą resztę miała zatroszczyć się Ewa.

– Mamuś, idę do Ewki na cały dzień. Chcemy spędzić ze sobą jeszcze trochę czasu – powiedziałam przymilnie.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – odpowiedziała cicho mama. Na szczęście mam wspaniałego ojca, który oczywiście pomógł mi w tej sytuacji.

– Pozwól jej wyjść. Chcesz, żeby spędziła ostatnie chwile, czując się odizolowaną od świata? – powiedział do niej szeptem tata. Ja jednak mam wspaniałych słuch i wszystko usłyszałam.

Mama się w końcu zgodziła. Odwożąc mnie pod dom Ewy, mówiła swoje standardowe kazania, że muszę na siebie uważać i tak dalej. W końcu odjechała, a pod dom przyjechał Marcin swoim niezawodnym golfem trójką.

Razem z Ewą usadowiliśmy się na tylnych siedzeniach. Świetnie było jechać z nimi. Jak gdyby nigdy nic, gadaliśmy głupoty i śpiewaliśmy piosenki. Marcin jak zwykle nabijał się z nas, że nie mamy talentu wokalnego, ale kogo to obchodziło? Ważne, że dobrze się bawiliśmy. Byłam szczęśliwa. Wiedziałam jednak, że prawdopodobnie to już ostatnie tak wesołe chwile w moim życiu, ale Ewa i Marcin sprawiali wrażenie, jakby o tym nie pamiętali. Przez całą podróż opowiadali dowcipy, a ja śmiałam się tak bardzo, że leciały mi łzy.

Niestety, mój stan fizyczny nie był tak dobry jak psychiczny. W pewnym momencie poczułam się źle, na szczęście wzięłam odpowiednie leki. Starłam się nie pokazywać przyjaciółom, że brakuje mi sił, ale oni to zauważyli. Chcieli

zrobić postój, ale nie zgodziłam się, gdyż pragnęłam jak najszybciej znaleźć się na Mazurach.

Pozornie miła podróż, stawała się udręką, toteż ucieszyłam się, gdy dotarliśmy na miejsce. Marcin zaparkował samochód blisko jeziora, więc szybko z niego wyskoczyłam i nie czekając na nic, podbiegłam do wody.

Zanurzyłam w niej stopy i poczułam się niezmiernie szczęśliwa. Wszystko wokół było takie piękne! Drzewa przyobleczone zieloną koroną, świergot ptaków, krzyki bawiących się dzieci i słońce odbijające się w tafli wody. Czułam się jak w raju!

Chwilę później przyszła do mnie Ewa z Marcinem i razem pluskaliśmy się przy brzegu jeziora, niczym małe dzieci. Wiedziałam, że nadejdzie w końcu ten moment, w którym Marcin powie: „Musimy się zbierać” i było mi niezmiernie smutno z tego powodu. Chciałam, żeby obecny stan trwał wiecznie. Wtem dotarła do mnie szara rzeczywistość. Wiedziałam, że ostatni raz widzę to jezioro, że są to ostatnie radosne chwile w moim życiu i znowu się rozplakałam. Przyjaciele objęli mnie i również uronili niejedną łzę. Było to cudowne, ale zarazem takie bolesne... Zbliżał się mój koniec. Mroczny Żniwiarz stawał się już niemal moim cieniem, był blisko, czułam jego chłodny oddech.

Wróciliśmy do domu. Ewa odprowadziła mnie do bramy i chwilę jeszcze zatrzymałyśmy się, aby porozmawiać.

– Saro, wybacz, że o to zapytam, ale... Myślisz, że jak wygląda Niebo?

– Myślę, Ewo, że wygląda jak Wieczne Jezioro Śniardwy
– odpowiedziałam – a ja będę się pluskać przy jego brzegu. Wierzę, że będzie ciepło, ale teraz czuję dziwny chłód. Muszę już iść, ktoś mnie woła.

– Zaczekaj, nic nie słyszę, chyba ci się zdawało – zdziwiła się Ewa.

Dziewczyna przytuliła mnie mocno i powiedziała:
– Czekaj tam na mnie, bo pewnego dnia, ja też przyjadę
nad to Jezioro i będziemy się pluskać razem.

Katarzyna Krzyżak

Katia

Zespół Szkół Miejskich nr 4

Gimnazjum nr 4 w Jaśle, kl. 3

STATUETKA

Muszę ją mieć! Jest taka piękna, smukła, kształtem idealna. Marzę o niej od pierwszej klasy, teraz gdy kończę gimnazjum... Przydałaby się taka, zanim pójde do liceum. Każdy by mi jej zazdrościł. Jest już prawie moja, tak niewiele dzieli mnie od jej posiadania...

– Się ma, frędzlu! – usłyszałem za sobą donośny, dziewczęcy, lecz zarazem poważny głos.

– Znowu ty... – wyrwało mi się przez przypadek. Zapomniałem o pierwszej zasadzie: „Nie prowokować głupiej kozy”.

– Co tam? – zapytała niebezpiecznie się do mnie zbliżając.

– Nic takiego – spróbowałem urwać niezbyt zachęcającą konwersację.

– Patrzysz na to, czego mieć nie będziesz... Podziwiał, póki możesz, statuetka jest już prawie moja – uśmiechnęła się pokazując dwa rzędy śnieżnobiałych, zdrowych zębów z lekko wysuniętymi siekaczami. – A tak na marginesie, to dziś dostałam celującą z chemii.

...bla bla bla. Kolejny monolog zdolnej, a zarazem bezczelnej pani przewodniczącej. W tej szkole dręczyła mnie od dawna. TAK, MNIE. Nikt nie widział, że swoją niesamowitą inteligencją i wiedzę wykorzystywała właśnie, aby MNIE poniżyć. Teraz stałem jedynie i wsłuchiwałem się w słowa wybiegające z jej pełnych, różowych ust i uderzające pełną siłą w moje bębenki. Zastanawiałem się, czy czekam na koniec jej

przemowy, czy na śmierć. Podejrzewam, że jedno wiąże się z drugim, ale nie wiadomo tak naprawdę, co szybciej nadejdzie. Zdecydowałem się jednak na dość ryzykowny krok i postanowiłem, rzucając krótkie 'cześć, wybiec ze szkoły, aby uniknąć ewentualnego ciosu (oprócz funkcji przewodniczącej i niesamowicie dobrej uczennicy – trenowała też boks).

– Dałabyś mu już spokój... – powiedziała Anka, gdy wychodziłyśmy razem ze szkoły. – Męczysz chłopaka od pierwszej klasy. Obie wiemy, że jest mądry i twoje starania, aby go zastraszyć, poniżyć, albo wprowadzić w depresję, ewentualnie inny, ciężki stan psychiczny, nie przynoszą skutku. Chłopak cię totalnie ignoruje.

– Anka, przesadzasz – burknęłam niezadowolona. – Do końca roku zostało dwa tygodnie, a ten... – w tym momencie Anka spojrzała na mnie krzywo – mądrała myśli, że zdobędzie statuetkę.

– Masz trochę chore ambicje – stwierdziła blondynka i odgarnęła z oczu włosy.

– Dobra, daj spokój i lepiej naucz się na jutro.

– Uczyć?! – jasnowłosa spojrzała na mnie wzrokiem, który ciężko tu opisać. – Nie jestem tobą i w czerwcu wolę spędzać popołudnia z przyjaciółmi, a nie z książkami. Tobie to tylko ten Bartosz w głowie.

– Nie on, tylko statuetka! – powiedziałam na pożegnanie i ruszyłam w swoją stronę. Przedemną było jeszcze dużo pracy. Walka toczyła się do ostatnich chwil.

– Bartek, nie przejmuj się, stary. Ta laska ma jakiegoś świra na punkcie tej statuetki. Współczuję szczerze jej chłopakowi. Odpuściłbyś... – powiedział do mnie Robert, podczas szkolnego obiadu.

Na stołówce nie było tłoczno. Oprócz mnie i mojego rudego przyjaciela było może z pięć osób. W sumie jego na pewno by już tu nie było, gdyby nie ostatnie zaliczenia. Był z siebie dumny, że udało mu się skończyć gimnazjum. Ja z niego też. A tak właściwie dziękowałem Bogu, bo chyba tylko dzięki moim nieustającym modlitwom zdarzył się ten cud.

– Żartujesz? Prędzej oddałbym tę statuetkę tobie – na te słowa Robert zarechotał pod nosem i wpakował do buzi ogromny kawał kotleta. Po chwili bezmyślnego gapienia się na twarde jak piłeczka do golfa ziemniaki, sam zrobiłem to samo. Miałem zapytać, kim jest ten jej „chłopak”, ale machnąłem na to ręką w myślach. Co mnie to obchodzi...

– Ty, stary, to ta twoja Hanka! – rudy wbił mi palca w żebro, co wywołało we mnie najpierw torsje, a później paniczny atak kaszlu. Stojąca przede mną Hanka śmiała się do rozpuku, dopóki cała zawartość z mojej jamy ustnej nie wylądowała na jej białej bluzce. Wtedy jej usta wykrzywiły się w zabawnej minie, wyrażającej złość i zażenowanie zarazem. Pod wpływem impulsu (co było u niej jak najbardziej normalne) wzięła owe „golfowe” ziemniaki i z całej siły uderzyła mnie nimi w głowę. Niewiele myśląc, nabrałem na widelec sałatkę i zaliczyłem piękny strzał w jej długie, ciemne włosy.

Po idiotycznej, infantylniej i ohydnej bitwie na jedzenie oboje wylądowaliśmy u dyrektora. Trudno było ukryć wstyd.

– Dwoje najlepszych uczniów na dywaniku u dyrektora!
– starsza, elegancka brunetka była w ciężkim szoku. W głębi

duszy na pewno dusiła śmiech, ale specjalnie dla nas przybrała minę, która wskazywała albo na wiadomość o śmierci bliskiego, albo o zawale. Wolałam o tym nie myśleć.

– Przepraszam – wydusiliśmy prawie równocześnie, co oczywiście spowodowało ostrą wymianę spojrzeń.

– Jesteście oboje faworytami do otrzymania nagrody. Chcecie to zepsuć głupim incydem? – uniosła do góry brwi w teatralnym geście, po czym machnęła ręką, abyśmy wyszli.

– Jesteś z siebie zadowolony, mądrało? – mruknęłam pod nosem, gdy wyszliśmy.

– Sama zaczęłaś!

– Ja?! Czy ja cię zmusiłam, abys wypluł na mnie przeżutego kotleta?

– Swoim wyglądem – odparł spokojnie i na dodatek z uśmiechem.

Bezczelny! Postanowiłam odejść niewzruszona, może lekko poczerwieniała na twarzy.

Jak ja lubię ten dzień. Wszyscy wyglądają tak pięknie, elegancko. Kolejni absolwenci prawdopodobnie po raz ostatni przekraczają próg tej szkoły. Ile razy na nowo będę tak mocno przeżywać rozstanie? Przyjdą nowi, ale nie ci sami. Czas na rozdanie świadectw, no i oczywiście statuetka. Ciekawe jak zareagują, gdy dowiedzą się... Każdy nauczyciel tej szkoły wiernie kibicował jednej ze stron. Podobno były w szkole zakłady! Ale to tylko dodawało im skrzydeł – ta dwójka osiągnęła już bardzo wiele.

– Jak myślisz Robert, które z nich wygra?

– Nie wiem, Anka. Spójrz na Hankę, jak zagryza zęby.
A Bartek jaki czerwony! – zaśmiał się rudowłosy chłopak.

Ze sceny dobiegł donośny głos pani dyrektor:

– W tym roku szkolnym statuetkę otrzymuje... Joanna Maciechowska z klasy IIIg!

Na Sali zapadła cisza. Dopiero gdy drobna blondynka wstała z końca Sali rozległy się nieśmiałe brawa. Wszyscy jednak patrzyli na głównych faworytów. Pierwsza śmiechem wybuchła Hanka. Wkrótce dołączył do niej Bartek, a potem śmiali się już wszyscy. Padaly też pytania kim jest ta dziewczyna, która wygrała. Jednak to nie było zbyt istotne. ONI PRZEGRALI, ale w końcu dotarło do nich, że są sobie równi i żadne nie potrafi być lepsze od drugiego.

Cały tłum przyszłych licealistów zebrał się pod gmachem nowej szkoły. Za chwilę będą wywieszane listy przyjętych. Wśród młodych ludzi znaleźli się także Bartek i Hanka.

– Cześć frędzlu! – zawołała czarnowłosa z uśmiechem. – Idziesz tu do liceum?

– No tak – westchnął Bartek. – A Ty?

– Też mam zamiar. Do której klasy?

– Do humanistycznej.

– Ja też! – zawołała z entuzjazmem. – Ciekawe, czy się dostaliśmy.

Tłum ruszył do przodu. Są listy.

– No to znowu się zacznie! – powiedzieli w tym samym momencie Hanka i Bartek.

Karolina Sztuba

Hailie

Gimnazjum nr 2 w Nysie, kl. 2

PIESKIE ŻYCIE

Moje życie dopiero się zaczyna. Jak ono wygląda? Mam z mamą i rodzeństwem przytulną kwaterekę – trzy kartonowe pudła, czyli nasze łóżeczka, krok dalej wielki bufet w wykwinnym zielonym pojemniku, mamy nawet okresowo pojawiający się basen – dwunożni mówią na to „kałuża”. W zasadzie jestem zadowolony. Mogę robić, co chcę, a mamusia broni mnie i resztę przed chłodem. Martwi mnie jedynie to, że sama coraz gorzej wygląda. Typowe – tatuś spanikował, gdy dowiedział się o ciąży mamusi i uciekł do młodszej. Ale mama jest silna, nie pozwoli, by coś mi się stało. Zdecydowanie, moje życie jest świetne!

Przestaje być idealnie. Wybraliśmy się pewnego dnia na spacer. Byłem przerażony! Znikąd wyjechał jakiś dziwny pojazd, tak szybko, że ledwie go zauważyłem. No, ale nigdy nie mogłem narzekać na mój refleks. Odskokczyłem w ostatniej chwili, jednakże radość z ucieczki przed niechybną śmiercią uniemożliwił mi rozdzierający pisk. Nie można go pomylić z żadnym innym. Moja jedyna siostra nie miała tyle szczęścia co ja. Podszedłem do niej, gdy tylko ten warczący potwór się oddalił. Powąchałem. Przysiadłem. Pożegnałem siostrę. Wróciłem do mamy i dwóch braci – jedyńskich, którzy mogli zrozumieć, co przeżywam. Już wiedzieli.

Urodziłem się jesienią. Nie jest to najcieplejsza pora roku, ale jeszcze do zniesienia – w końcu nie znam innych. Wielkimi krokami zbliża się jednak zima. Kartonowe pudła przestają wystarczać. Mama odstąpiła nam swoje, żeby było nam cieplej, zwłaszcza gdy spadnie śnieg. Nie wyszło jej to na dobre.

Mama po prostu zamarzała pewnej grudniowej nocy. Zostało nas trzech – maluchy bez podstawowej wiedzy o życiu. I co mamy robić?

Postanowiliśmy znaleźć cieplejsze miejsce do życia. Okazja natrafiła się, gdy jakaś pani z wielką reklamówką powiedziała coś do drzwi, a one się otworzyły. Zostawiła je uchylone. Wśliznęliśmy się tam. Zeszliśmy po schodach (no, sturlaliśmy się) na sam dół. Olaboga, jak tam ciepło! To tutaj mamy plan przeczekać najsroższą z pór roku.

Mieszkamy tu już kilka dni. Jesteśmy głodni. Bardzo głodni. Nasz najstarszy brat na szczęście znalazł coś do jedzenia – coś małego, różowego. No, ale to on jest przewodnikiem stada, więc i on ma prawo posilić się jako pierwszy. Ja z Młodym czekamy. Zjadł wszystko. No trudno, musimy wytrzymać.

Żarłoczny braciszek jęczy niemiłosiernie. Skomle. Widocznie ta wczorajsza karma nie była najzdrowsza. Słyszę kroki. Wchodzi mężczyzna – rośły, z nieprzyjemnym wyrazem twarzy. Z jego ust zaczyna wypływać potok słów, niespecjalnie miłych. Konającego braciszka kopie w kąt, mnie z Młodym podnosi brutalnie za skórę na karku i wyprowadza na to zimno. Wrzuca nas w zaspę. Leżymy tam, na wpół oszaleli z głodu i zimna. To musi być śmierć. Czyżbyśmy umierali, nie mając nawet czterech miesięcy?

Wybawienie! Przechodzi jakaś kobieta, co prawda po paru godzinach, ale zawsze. Dostrzega nas. Chyba jej się spodobałiśmy, bo podniosła nas delikatnie, wsadziła pod takie ciepłe coś, co miała na sobie i zaniósła do takiego cudownego miejsca, gdzie panowała przyzwoita temperatura, cisza, zewsząd napływały do nas kuszące zapachy. Ale zbadam to później... Teraz muszę się zdrzemnąć...

I to jest życie! Budzę się opatulony kocem, obok mnie miska z wodą, smakołyki, a ta miła pani drapie mnie za uchem. Ja chcę tu zostać!

Niestety, nie zostałem. Udało się Młodemu. Młodego ktoś kocha. Ktoś się nim zajmuje. Ktoś mu nawet nadał imię – teraz jest to Hermes. Takie dostojne. Zazdroszczę. Też bym chciał. A niech to, znajdę sobie własną kobietę. Ale dopiero wtedy, gdy mnie wypuszczą z tego dziwnego pomieszczenia pełnego innych psów, gdzie niemal cały czas jestem uwięziony w małej, okratowanej przestrzeni. Boję się tu być. Tęsknię za domem, za własnym człowiekiem...

Tak! Tak! Mam własny dom! Moja Pani wzięła mnie do siebie! I też mam teraz imię! Panie i panowie, oto Aslan! Na pewno będzie cudownie!

Mieszkam u Pani już trzy miesiące. Nie jest tak idyllicznie. To znaczy mam co jeść, pić itd., ale cały czas jestem sam w domu. Nudzę się.

Mam pomysł na zabicie nudy. Są takie drzwi, które się bardzo śmiesznie rozsuwają – w tę i z powrotem, w tę i z powrotem... Ale jak się tam wśliznąć? Hm... Jakie to dziwne to w środku! Takie delikatne w dotyku... Gdyby udało się to ściągnąć z wieszaka, to można by się tym pobawić... Aż chce się to pogryźć...

Troszkę uszkodziłem moją zabawkę. Pani zauważyła. Uderzyła mnie. Mocno. Bolało. Wróciłem za kraty.

W tym strasznym więzieniu spędziłem trzy lata. Jestem już dorosłym psem. Większość moich wspomnień przysyłają brudne schroniskowe kraty. Co jakiś czas przychodzi mnie obejrzeć jakiś człowiek, ale nikomu się nie podobam. Zostawiają mnie tu. Ale ja wciąż czekam. Na tę jedyną osobę, której jestem pisany.

Czyżbym się doczekał? Bierze mnie pewien pan. Ma ze sobą dziecko, które najwyraźniej mnie polubiło. Dzięki Mały, mam u ciebie dług!

Mój nowy pan jest biznesmenem. Dużo podróżuje. Ale jego żona zostaje, czasem rzuca mi piłkę. I ten Mały jest świetny.

Zawsze chce się ze mną bawić. To jedno się ani trochę nie zmieniło w ciągu całego tego roku, który z nim spędziłem. Później Pan dostał jakąś „ofertę pracy” – cokolwiek to jest – w Londynie. I mnie nie zabrał ze sobą. Nie wiem co to ten Londyn i dlaczego nie wpuszczają tam psów. Może to coś jak kościół? Ale w kościele nie jest się na zawsze, więc dlaczego w tym Londynie jest inaczej? Nikt mi tego nie wytłumaczył, po prostu ponownie zamknęto mnie w schronisku. Płakałem razem z Małym.

Tym razem nie nasiedziałem się tam długo, zaledwie kilka miesięcy. Powód? Likwidacja schroniska. Psów jest za dużo, pieniędzy za mało. Te, które nie zostaną zaadoptowane, muszą zakończyć żywot. Dla mnie nie ma już szansy. Jutro wielki dzień – odchodzę.

Kładą mnie na zimnym stole. Ostatni raz rozglądam się wokół. Czuję delikatne uklucie. Ktoś się koło mnie kręci, ale jestem zbyt zajęty własnymi myślami, by zwrócić na to uwagę. Całe życie czekałem na kogoś, kto by mnie naprawdę pokochał. Czekałem na osobę, która jest mi pisana, przy której czułbym się bezpiecznie. Na darmo. Czy coś jest ze mną nie tak? Oczy mi się zamykają. Wiem, że to już mój ostatni oddech. Umieram z myślą: „Czy naprawdę nie miałem szansy na szczęśliwe życie?”

Grupa IV (szkoły średnie)
LISTA OSÓB NAGRODZONYCH

WIERSZE

WYRÓŻNIENIA:

WALDEMAR WÓJCIK

– *IDŹ...*

MAŁGORZATA KWIATKOWSKA

– *CYKL WIERSZY*

OPOWIADANIA

WYRÓŻNIENIA:

KAROLINA GAJECKA

– *ZOBACZYĆ SŁOŃCE*

PAULINA MARCHEWKA

– *ŚNIĄC NA JAWIE*

Waldemar Wójcik

Dimare

II Liceum Ogólnokształcące w Jaśle, kl. 1

IDŹ...

Idź ...

Dlaczego stoisz w miejscu jak strach na wróble?
Patrzysz pustym sercem przed siebie, widzisz ciemność...
Nie tylko Ty... to nasza wspólna wada
Wszyscy jesteśmy ślepi, wszyscy jesteśmy słabi

Idź...

Nawet tam gdzie czeka Cię ocean niepewności...
Czy oddychałeś kiedyś takim powietrzem?
Wichura nienawiści dmie w Twoje oczy coraz gwałtowniej
Ty oddychaj! Świeżość dnia zmieni nasz świat na lepsze

Idź...

Nie patrz w dół, ale nie podnoś głowy zbyt wysoko
Poczuj to co czują ci którzy potrafią kochać
O ile to słowo coś jeszcze znaczy...

Zabłądź...

To nieuniknione.
W lesie pełnym uschłych liści, odnajdź siebie
Powrócisz tu nie raz, zapamiętaj szlak
Będzie łatwiej...

Meta!

Pewnie powiesz mi: „Jestem wyczerpany”
Ale zrób coś jeszcze – spójrz w niebo...

...masz odwagę?

Małgorzata Kwiatkowska

Kalina

Zespół Szkół nr 4 w Jaśle, kl. 1

ANIOŁ

Spotkałam anioła
Bez skrzydeł, bez domu
W poszarpanym ubraniu
Drzemał na ławce w parku
Nie skarżył się

Karolina Gajeczka

Es

II Liceum Ogólnokształcące w Jaśle, kl. 1

ZOBACZYĆ SŁOŃCE

Tego dnia słońce też nie wzeszło.

Jak zwykle podeszła do okna i znów widziała tylko bezmiar ciemności. Miała szeroko otwarte oczy. Powiększone źrenice i tęczęwki w miodowym kolorze, którymi zawsze wszyscy się zachwycali. Kiedy wyszło na jaw, że są tylko bezużytecznym zmysłem, stały się pospolite, niemal porównywalne do wszelkich brązowych, zielonych i niebieskich oczu.

Położyła dłoń na szybie, czuła jej zimno i obcość pod palcami. Dotyk miała niezwykle wyczulony, może Bóg chciał tak zrekompensować jej ślepotę. Ręce były jej oczami, musiała im ufać.

Dziś będzie ten dzień.

Straciła poczucie czasu, słyszała tylko jak biegnie, coraz szybciej, może uciekał, przedostawał się przez jej palce jak piasek, nieubłaganie spadał w otchłań wieczności.

Ogarnęła ją monotonia, objęła swoimi żelaznymi ramionami i nie chciała wypuścić, by poczuła świeży oddech nadziei. Tkwiła w niej, nawet nie próbując się już wyrwać, popadając w coraz większą beznadzieję.

Odeszła od okna i wolno dotarła do drzwi. Dziś jej urodziny. Sprawi sobie prezent, jakiego nikt inny nie potrafiłby jej dać. Gdyby wiedziała, jak będzie wyglądało jej życie, wołałaby nigdy się nie urodzić. Pod sercem matki było tak niesamowicie bezpiecznie, otaczały ją ciepłe wody, a ona żyła beztrudnie, z niedorozwiniętymi jeszcze kończynami, a co najważniejsze, bez pamięci i funkcji myślenia, głupia. Już dawno stwierdziła, że

gdyby miała wybór, wybrałaby ten jeden chromosom więcej. Myśli ludzi z downem płyną wolno, na pewno nie z prędkością 300 kilometrów na sekundę, jak u osób zdrowych.

Znała ślepych, którzy potrafili cieszyć się życiem i wymagać od niego wciąż więcej i więcej, chwytając chwile jak kolorowe motyle i więzić w butelce, sprzeciwiać się losowi i mimo wszystko być szczęśliwymi, bez względu na przeciwności.

Ona nie potrafiła. Była słaba, ugięła się jak delikatny kwiat pod wpływem lekkiego wietrzyku. Chmury gromadziły się i było jasne, że gdy tylko z nieba posypią się pioruny, złamią ją bez trudu. Potrzebowała słońca, które wciąż nie wschodziło.

Podeszła do radia i mocno przekręciła galkę. Kuchnię wypełniła głośnie muzyka, która wdzierła się w jej serce i zmuszała je do drżenia. Chciała zagłuszyć swoje myśli.

Nie udało się. Słowa wciąż pałętały się po jej umyśle, to lekko postukując w jej czaszkę, to gwałtownie uderzając, domagając się uwagi. Wiedziała, co ma zrobić, ale wciąż nie była pewna, ziarenko nadziei na lepsze jutro mimowolnie zniszczyło jej pewność.

Lepsze jutro było wczoraj.

Uwielbiała słończniki. Dotykała je delikatnie, obejmując główkę, gładząc ostrożnie opuszkami palców płatki i wdychając ich zapach, który zawsze kojarzył się jej tylko z latem.

Wiedziała, że są podobne do słońca. Nigdy ich nie zrywała. Nie chciała pozbawiać ich nadziei zobaczenia słońca.

Nie wierzyła w Boga. Kiedyś matka nauczyła ją pacierza.

– Ojciec nasz – mówiła namaszczoneg głosem. – któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja...

Nie spodobały się jej te słowa. Czuła do nich niechęć i choć obiecała matce, że codziennie rano i wieczór będzie je odmawiać, od tamtego czasu nie wymówiła ich ani razu.

Chodziła z rodzicami co niedziela do kościoła, poszła do pierwszej komunii, ale religia wydawała jej się nierealna, rzekome cuda Jezusa nieprawdziwe, Bóg odległy i nierzeczywisty.

Wierzyła, że w nic nie wierzy.

– Wiesz, wiara jest jak płaszcz, który ochroni cię przed zimnem śmierci – rzekła któregoś dnia matka – Pamiętaj o tym – dodała.

Co dziwne, teraz, kiedy matka była daleko za oceanem i pracowała ciężko na kawałek chleba, wciąż pamiętała te słowa. Za każdym razem, gdy otulała się ciepłym, zimowym płaszczem szeptała sama do siebie to zdanie, jakby mantrę.

– Ścisz to radio!

Odwróciła się i gdyby mogła, zobaczyłaby bladego mężczyznę po czterdziestce, który przyczynił się do faktu jej istnienia na tej ziemi.

– Dlaczego? – wydeła wargi. – Mnie się tak podoba.

– Ścisz!

Nie uzyskawszy odpowiedzi, przeklął szpetnie i sam zmniejszył ilość decybeli. Burknął coś, co chyba można było nazwać pożegnaniem i wyszedł.

Matka i ojciec byli jej chlebodawcami, nie rodzicami.

– Jak to jest być niewidomą? – zapytała kiedyś Tamara.

Majka długo zastanawiała się nad odpowiedzią. Nie udzieliła jej od razu, dopiero parę dni później, kiedy ponownie spotkały się w szkole.

– Źle – rzekła. – Nie widzisz świata obfitującego w kolory, nic, tylko ciemność. Możesz jedynie wyobrażać sobie, jak wyglądają kwiaty, drzewa, domy, ludzie – urwała, lecz po chwili dodała. – Ty widzisz słońce w dzień, ja widzę je tylko w nocy.

Przekręciła klucz w zamku i oparła się o drzwi. Powitał ją natarczywy wiosenny wiatr, otulił policzki i wślizgnął się pod kurtkę. Wahala się. Wystawiła twarz do słońca i poczuła jego

promienie na policzkach. W jej głowie toczyła się walka, można by rzec śmiertelna. Gdy była już prawie pewna decyzji, mózg wysyłał nogom polecenie wykonania ruchu, nagle zaczęła napływać masa kontrargumentów i znów zostawała pod drzwiami na kolejne minuty. Kiedyś wszystko musi się zmienić. Niech to "kiedyś" będzie już dziś. Niech dziś będzie tym lepszym jutrem. Popychana przez wiatr znalazła się przy bramce. Otworzyła ją delikatnie i na tym jej pewność się kończyła, złapała białą laskę i ruszyła już wolniej przed siebie.

Powietrze było przepelnione wiosną, zapachem każdego niedojrzałego listka, pączka, zwiastującego narodziny kwiatu, ale Majka czuła tylko nadzieję, która uderzała wiosną ze zdwojoną siłą, nadzieję, która zwiastowała, że po zimie znów wszystko rodzi się na nowo.

Że teraz wszystko się zmieni. Że będzie lepiej. Na pewno. Ale ten sam scenariusz powtarzał się od jakichś czterech lat.

Była już bliska swojego celu. Pokonała przejście dla pieszych i znalazła się na moście. Położyła stopę na barierze i uniosła się parę centymetrów w górę. Wspięła się jeszcze wyżej, wolno przemieściła się na drugą stronę barierki i zawisała niemalże w powietrzu, utrzymywana tylko przez krótki kawałek betonu i ręce, uporczywie trzymające się metalowych prętów. Nagle pewność ulotniła się z niej i został tylko strach.

– Ważne są tylko te dni, których jeszcze nie znamy – wyszeptała nagle, sama do siebie drżącym głosem. – Być może istnieją czasy piękniejsze, ale te są nasze – zacytowała, szybko przypominając sobie sentencję Jeana Paula Sartre.

Wróciła na pewny grunt. Idąc z powrotem do domu wierzyła, że teraz rzeczywiście wszystko zmieni się, na lepsze, że podąży ku lepszemu światu, lepszej rzeczywistości. Że musi nauczyć się cieszyć tym, co ma, znaleźć jakieś hobby, które przerwałoby monotonię, może śpiew, przecież kiedyś lubiła śpiewać...

Weszła pewnym krokiem na przejście, za późno uświadamiając sobie, że przecież teraz zielone światło mają kierowcy aut. Psycholodzy określają takie sytuacje mianem samosprawdzającej się przepowiedni. Jej mózg zdążył zarejestrować jeszcze, że nieznana siła unosi ją na ułamki sekund w powietrze, później brutalnie uderza w asfalt, a wszystko okraszone jest bólem tak silnym, że powieki stają się zbyt ciężkie, naprawdę zbyt ciężkie...

Zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, już wiedziała, co się stało.

Zobaczyła słońce.

Paulina Marchewka

Vesia

Zespół Szkół nr 4 w Jaśle, kl. 1

ŚNIĄC NA JAWIE

Sanna, jak każdego ranka, słysząc dźwięk budzika niechętnie otworzyła oczy i sięgnęła ręką, by wyłączyć alarm. Przewróciła się na plecy i wpatrywała w sufit. Nie miała ochoty wstać, podobnie jak każdego dnia od sześciu miesięcy, przeprowadziła się z małej wioski na północy kraju do stolicy mroźnej Finlandii. Po rozwodzie rodziców musiała zamieszkać z ojcem, ponieważ matka ciężko zachorowała i nie była w stanie się nią opiekować. Czasem jednak piętnastolatka miała wrażenie, że z chorą matką czułaby się lepiej niż z ojcem, czułaby się potrzebna. Ojciec miał w Helsinkach duże mieszkanie i dobrą pracę, w której spędzał całe dni, a czasem nawet wieczory i noce. Nie interesował się potrzebami córki, dostarczał jej tylko pieniądze – sama robiła zakupy, czasem nawet płaciła rachunki.

W szkole nie było lepiej. Przeprowadzka w połowie roku szkolnego sprawiła, że w jej klasie nie miała nikogo, z kim mogłaby się zaprzyjaźnić – każdy należał do jakiejś zamkniętej grupy koleżeńskiej i nikt nie miał ochoty przyjmować nowej. W klasie rządziły bogate dziewczyny, które decydowały o tym, czy ktoś jest „swój” czy nie warto zwracać sobie głowy jego istnieniem. Sanna niestety została zaliczona do tej drugiej grupy. Nikt z nią nie rozmawiał, a ona nie potrafiła zrozumieć, dlaczego. Czowała się osamotniona. W rodzinnej wiosce miała wielu przyjaciół, a także chłopaka, który zerwał z nią, gdy powiedziała mu o wyjeździe. Znajomi wraz z upływem czasu odzywali się coraz rzadziej, aż w końcu całkowicie zerwali z nią kontakt, zajęci swoim własnym życiem. Coraz bardziej zamykała się w sobie – chociaż była bardzo zdolna i na początku świetnie

się uczyła, jej brak kontaktu z rówieśnikami oraz ojcem zaczął się odbijać na jej psychice – brakowało jej motywacji, dostawała coraz gorsze stopnie. Wychowawczyni skontaktowała się z ojcem Sanny, który urządził jej awanturę – żadnej rozmowy, szukania przyczyn jej zachowania – tylko wyrzuty. Potem wyszedł do pracy i wrócił następnego dnia. Dziewczyna miała dość, wpadła w depresję. Coraz gorzej funkcjonowała, nie miała chęci, by znów wstać i iść do szkoły, jednak robiła to – nie chciała zawieść ojca. Mimo, że się nią nie interesował, był jej najbliższą osobą w tym obcym mieście, pełnym wciąż obcych jej ludzi.

Wreszcie wstała z łóżka, umyła się i ubrała, po czym wyszła do szkoły. Wchodząc do szkoły zderzyła się z kimś stojącym przy wejściu, skuliła się, słysząc wyzwiska i mamrocząc „Przepraszam”, wbiegła do szkoły. W sali usiadła ja zwykle w najdalszym kącie. Poranny incydent tak ją zdenerwował, że dopiero po dłuższej chwili uświadomiła sobie, iż nauczyciel coś mówi. Podniosła wzrok i zobaczyła, że obok mężczyzny stoi bladej, szczupły, czarnowłosy chłopak. Wyglądał tak, jakby wołał być w tej chwili gdziekolwiek, byle nie tam. Z coraz większym zainteresowaniem słuchała tego, co miał do powiedzenia nauczyciel. Okazała się, że do jej klasy dołączy jeszcze jeden uczeń, który właśnie przeniósł się do tej szkoły. W dziewczynie pojawiła się nadzieja, że w końcu uda jej się z kimś zaprzyjaźnić. Nadzieję tą podsycał nauczyciel, który kazał chłopakowi zająć jedyne wolne miejsce – obok Sanny. Jej entuzjazm znikł, kiedy chłopak zajął miejsce, nawet na nią nie patrząc, a potem nie odezwał się do niej przez cały dzień. Po lekcjach załamana ruszyła do domu. Mniej więcej w połowie drogi poczuła lekkie uderzenie w nogę. Odwróciła się i zobaczyła na nogawce pozostałości śnieżnej kulki. Podniosła wzrok i zobaczyła oddalonego o kilka metrów nowego. Chłopak podszedł do niej i zagadnął:

– Cześć, jestem Mattias.

- Sanna. Dlaczego odzywasz się do mnie dopiero teraz?
- spytała, zdziwiona nagłą zmianą w jego zachowaniu.
- W klasie głupio się czułem, nie chciałem zwracać na siebie uwagi.

Dziewczyna pokiwała głową – aż za dobrze знаła to uczucie.

– Rozumiem. To... czemu przeniósł się do nowej szkoły pod koniec roku szkolnego?

– Musiałem – tylko tyle, żadnych wyjaśnień. Nic.

– Okej... – Sanna nie wiedziała, co ma na to odpowiedzieć, ale on nie czekając na odpowiedź, zapytał:

– Czemu trzymasz się na uboczu? Nie widziałem, żebyś z kimkolwiek rozmawiała – z jakiegoś powodu był tym bardzo zainteresowany.

– To nie ja z nimi nie rozmawiam, tylko oni ze mną – wyszeptowała smutno dziewczyna.

– Och... Mnie chyba też zamierzają ignorować, więc może spróbujemy się zaprzyjaźnić? Razem zawsze raźniej – stwierdził z uśmiechem.

– Jasne – ucieszyła się dziewczyna. Spojrzała na zegarek i wystraszona stwierdziła, że jest bardzo późno i jeśli się nie pośpieszy, nie zdąży ugotować obiadu przed powrotem ojca.

– Przepraszam, muszę lecieć. Na razie.

– Dobra, to do jutra – rzucił chłopak, zdziwiony jej nagłym pośpiechem.

Sanna ruszyła biegiem do domu. Ugotowała obiad, zjadła swoją porcję, a resztę zostawiła ojcu, po czym poszła do swojego pokoju. Była zmęczona całym dniem i chciała się wcześniej położyć, ale nie mogła zasnąć. Myślała o Mattiasie. Chłopak, mimo że tajemniczy, wydawał się sympatyczny, a ona cieszyła się, że wreszcie będzie miała z kim porozmawiać. Wreszcie zasnęła z uśmiechem na twarzy.

Mijały dni, a chłopak stawał się jej coraz bliższy. Nadal nie wiedziała, dlaczego przeniósł się do tej szkoły – nie pytała,

a on nie mówił. Często umawiała się z nim po szkole, mówiąc ojcu, że idzie do biblioteki, żeby się uczyć. Nikt nie wiedział o ich spotkaniach, bo on tak chciał. Pewnego dnia stwierdził, że musi jej coś pokazać. Zaintrygowana zgodziła się i poszła z nim, chociaż nie wiedziała, dokąd ją zaprowadzi. Zabrał ją do zrujnowanego domu i powiedział:

– Często tu przychodzę.

– I co tu robisz? Przecież to rudera – spytała zdziwiona Sanna.

– Chodź, pokażę ci – zachęcił.

Poszła. Zaprowadził ją do jednego z pomieszczeń, w którym znajdował się stół, a na nim przedmioty, których nie potrafiła zidentyfikować, świeczki oraz książka. Mattias wziął ją do ręki i odwrócił się do dziewczyny.

– Wiesz, co to jest? – spytał.

– Nie. Powiedz mi – poprosiła, coraz bardziej zaciekawiona.

– To książka, za pomocą której można przywołać złe duchy – stwierdził chłopak.

– Jasne – roześmiała się nastolatka.

– Mówię prawdę. Chcesz zobaczyć? – spytał śmiertelnie poważnie.

– Dobra, pokaż – powiedziała, wciąż uśmiechając się drwiąco.

Chłopak pociągnął ją w stronę stołu, usiadł. Zapalił świeczki, porozkładał na stole wszystkie te dziwne rzeczy, które zauważyła, kiedy tu weszli i otworzył książkę. Po chwili zaczął recytować słowa w jakimś dziwnym języku. Nic nie rozumiała. Zaczęła się niespokojnie wiercić. Mattias nie przestawał czytać, wyglądał tak, jakby wpadł w jakiś trans. Przerazona Sanna zaczęła nim potrząsać, ale nie reagował.

Powietrze zaczęło gęstnieć, poczuła wiatr, mimo, że szyby w oknach były nienaruszone. Świece zgasły. Dziewczyna

wciąż potrzęsała Mattiasem, chcąc, by otrząsnął się z transu, w którym się znajdował, jednak on nie reagował – wpatrywał się tylko pustym wzrokiem w ścianę. Spanikowana chciała wstać, ale jej nogi nie reagowały na polecenia wysyłane przez mózg. Nagle poczuła na skórze dotyk dłoni. Spojrzała w dół, ale nikogo tam nie było. Przeżrana zaczęła krzyczeć, a wtedy zobaczyła, jak jej przyjaciel spada z krzesła i nieruchomo leży na podłodze. Jego klatka piersiowa nie unosiła się i wyglądało na to, że nie oddycha. Nagle dłonie, które wcześniej czuła na całym ciele zniknęły. Ponownie spróbowała wstać, tym razem jej się to udało. Nachyliła się nad Mattiasem – był blady, jego ciało coraz chłodniejsze. W chwili, kiedy chciała zadzwonić po pomoc, znów poczuła dotyk. Tym razem na szyi. Niewidzialne dłonie zacieśniały uchwyt, coraz skuteczniej blokując dopływ tlenu do organizmu dziewczyny. Zaczęło się jej robić ciemno przed oczami. Chciała wstać, uciec, ale nie dała rady. Upadła.

* * *

Gdy się ocknęła, szybko usiadła, by pomóc Mattiasowi. Nie wiedziała, ile czasu minęło, od chwili, gdy straciła przytomność. Rozglądnęła się i uświadomiła sobie, że jest w swoim pokoju. Nie wiedziała, jak się tam znalazła. To, co się stało, było tak realne, a jednak wszystko wskazywało na to, że był to sen. Westchnęła z ulgą – to znaczyło, że Mattiasowi nic nie jest. Wstała z łóżka i ruszyła do kuchni. Ku swojemu zdziwieniu usłyszała krzątającego się tam ojca. Zrobiła sobie herbatę i usiadła przy stole. Dopiero po chwili ojciec odwrócił się do niej. Popatrzył na nią, otworzył szeroko oczy i krzyknął: „Co ci się stało?!” Serce Sanny zaczęło bić w szaleńczym tempie. Dziewczyna podeszła do lustra, by zorientować się, czy ojciec miał na myśli to, co podejrzewała. Gdy spojrzała na swoje odbicie, wydała z siebie okrzyk przerażenia, a kubek, który przez

cały czas trzymała w dłoni roztrzaskał się o podłogę. Na jej szyi widniały ciemnofioletowe pręgi, kształtem podobne do ludzkiej dłoni. To nie był sen.

Gdy poszła do szkoły, Mattiasa tam nie było. Nie miała odwagi iść do rudery, w której zaczął się ten koszmar. Kilka tygodni później wzięła do ręki gazetę. Gdy jej wzrok padł na artykuł zamieszczony na pierwszej stronie, zamarło jej serce – „W opuszczonym domu na obrzeżach miasta znaleziono ciało nastolatka. Nie miał żadnych obrażeń. Przyczyny śmierci nie są znane.” Wiedziała, że nikt nigdy nie dowie się prawdy – tylko ona wiedziała, jak zginął chłopak. Nie wiedziała jednak, że teraz kolej na nią...

